

SYLWIA WYSIŃSKA

Rudolf Höss w oczach więźniów (na podstawie akt procesowych)

Celem niniejszego artykułu jest charakterystyka Rudolfa Hössa jako komendanta KL Auschwitz-Birkenau. Analizę przeprowadzono nie na podstawie wydanych wspomnień i pamiętników, jak czyniono to dotychczas, lecz opierając się na zeznaniach świadków procesu przeciwko pierwszemu komendantowi obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu-Brzezince. W związku z tym w artykule ukazano Hössa w nieco innym świetle niż miało to miejsce do tej pory. Przedstawiono jego stosunek nie tylko do więźniów obozu, ale także do podwładnych mu SS-manów. Ponadto ukazano sposób, w jaki komendant traktował więźniów różnych narodowości, na przykładzie Polaków, Rosjan i Żydów. Szkic stanowi również próbę charakterystyki Rudolfa Hössa widzianego oczyma więźniów. W pierwszej jego części przedstawiono krótko życiorys pierwszego komendanta obozu oświęcimskiego. Natomiast w drugiej, zasadniczej części, skupiono się na zrekonstruowaniu wizerunku Hössa, jaki wyłania się z zeznań więźniów złożonych podczas procesu, który odbył się w Warszawie w dniach 11—29 marca 1947 roku.

Podstawowym źródłem, na podstawie którego został napisany ten artykuł jest zespół akt: Proces Hössa, znajdujący się w Archiwum Państwowym Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu. Obejmuje on protokoły sporządzone z przesłuchania świadków (byłych więźniów KL Auschwitz) w czasie śledztwa prowadzonego przez Okręgową Komisję w Krakowie pod przewodnictwem Jana Sehna, członka Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Poza zeznaniami świadków w zespole tym znaleźć można także protokoły z trzynastu przesłuchań oskarżonego przeprowadzonych przez Jana Sehna w okresie między 29 września 1946 roku a 11 stycznia 1947 roku (łącznie z oświadczeniem końcowym i przyznaniem się Hössa do winy) oraz zeznanie pierwszego komendanta KL Auschwitz złożone 14 marca

1946 roku przed brytyjską Field Security Police (Polową Policją Bezpieczeństwa). Ponadto wspomniany zespół akt zawiera protokoły z zeznań świadków i oskarżonego z procesu toczącego się w Warszawie w dniach 11—29 marca 1947 roku przed Najwyższym Trybunałem Narodowym oraz sentencję i uzasadnienie wyroku wydanego 2 kwietnia 1947 roku.

Cennym źródłem, pomocnym przy realizacji niniejszego tematu, okazały się także wydane drukiem *Wspomnienia Rudolfa Hössa komendanta obozu oświęcimskiego*¹. Höss przedstawił w nich swój punkt widzenia na wiele istotnych spraw. Wprawdzie tematem artykułu jest wizerunek komendanta widziany oczami więźniów, a nie jego własnymi, niemniej jednak dzięki wykorzystaniu dwóch typów źródeł można porównać dwie skrajne perspektywy.

Rudolf Franz Ferdynand Höss urodził się 25 listopada 1900 roku² w Baden-Baden jako pierwotny syn Franza Xawera Hössa i Pauliny z domu Speck³. O najbliższej rodzinie Rudolfa Hössa zachowało się niewiele informacji. Jego ojciec w młodości był oficerem służącym w 21. Pułku Dragonów Badeńskich, który to pułk wchodził w skład armii kolonialnej w Niemieckiej Afryce Wschodniej. Z powodu licznych ran Franz Höss wystąpił z wojska (w stopniu majora) i zajął się prowadzeniem przedsiębiorstwa handlującego kawą i herbatą, które Paulina Speck odziedziczyła po swoich rodzicach⁴. Jeśli chodzi o rodzeństwo komendanta obozu oświęcimskiego, wiemy tylko, że miał dwie młodsze siostry. Pierwsza urodziła się w 1904 roku, a druga w 1906 roku. W tym też roku rodzina Hössów przeniósła się z Baden-Baden do Mannheimu, gdzie Rudolf Höss ukończył 4-letnią szkołę powszechną (*Volksschule*), a od 1910 roku rozpoczął naukę w gimnazjum humanistycznym, w którym ukończył pięć klas⁵. W szkole uczył się średnio i uchodził za przeciętnego ucznia⁶. Ojciec planował, że po skończeniu szkoły syn wstąpi do seminarium duchownego. Nie pytał młodego Rudolfa o zdanie w tej kwestii, nie znosił bowiem sprzeciwu. Dzieci, a zwłaszcza syna, wychowywał

¹ R. Höss: *Wspomnienia Rudolfa Hössa komendanta obozu oświęcimskiego*. Przeł. J. Sehn, E. Kocwa. Warszawa 1956.

² We wszystkich dokumentach i opracowaniach naukowych figuruje 25 listopada 1900 roku jako data urodzenia Rudolfa Hössa. Jedyne wyjątek stanowią: praca Manfreda Dese-laersa pt. *Bóg a Zło w świetle biografii i wypowiedzi Rudolfa Hössa komendanta Auschwitz* oraz akt ślubu Hössa znajdujący się w tzw. Familienstammbuchu (kopia tego dokumentu znajduje się w Archiwum Państwowym Muzeum w Oświęcimiu [dalej: APMO], Materiał do procesów SS-manów, T. 196a, sygn. Mat/1686. Familienstammbuch, k. 635). W obu wymienionych pozycjach figuruje 25 listopada 1901 rok jako data urodzenia Rudolfa Hössa.

³ APMO, Proces Hössa, sygn. Dpr-Hd/2a, k. 44, Protokół z przesłuchania Rudolfa Hössa z dnia 30 stycznia 1947 roku.

⁴ J. Sehn: *Wstęp*. W: R. Höss: *Wspomnienia Rudolfa Hössa komendanta obozu oświęcimskiego*. Warszawa 1956, s. 8.

⁵ A. Cyra: *Ludobójca*. „Panorama” 22 marca 1987, nr 12, s. 12.

⁶ J. Rawicz: *Dzień powszedni ludobójcy*. Warszawa 1973, s. 17.

według zasad wojskowych. Nie dyskutował z nimi, a jedynie wydawał im polecenia. Jakiegokolwiek zaniedbanie obowiązków było bezwzględnie karane. W swej autobiografii Höss wspominał: „Począwszy od najmłodszych lat byłem wychowywany w głębokim poczuciu obowiązku. W domu rodzicielskim ściśle przestrzegano, by wszystkie zalecenia były wykonywane dokładnie i sumiennie. Każdy miał stale pewien zakres obowiązków. Ojciec zwracał szczególną uwagę na to, żebym stosował się jak najdokładniej do wszystkich jego zarządzeń i życzeń [...]. Wciąż mnie pouczał, że z drobnych, na pozór nic nie znaczących zaniedbań powstają najczęściej wielkie szkody. Wówczas niezupełnie to pojmowałem, później, nauczony gorzkim doświadczeniem, potrafiłem w pełni uznawać tę zasadę⁷. Niewątpliwie tak rygorystyczne wychowanie nie pozostało bez wpływu na psychikę Hössa. Nauczony w dzieciństwie wykonywać sumiennie, bez zastanowienia i sprzeciwu, wszystkie polecenia ojca będzie podobnie postępował już w dorosłym życiu. Nic więc dziwnego, że będąc w latach 1940—1943 komendantem niemieckiego obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, Rudolf Höss nie zastanawiał się, czy postępuje dobrze czy źle. Swych czynów i zachowania nie oceniał z moralnego punktu widzenia, jego jedynym zmartwieniem było bowiem to, by ściśle przestrzegać zaleceń przełożonych, bez względu na to, jakie te zalecenia by były. W pełni zgadzam się z tym, co w swym artykule na ten temat napisali Antoni Kępiński i Maria Norwid: „Także w obozie oświęcimskim, jak można wywnioskować na podstawie jego własnych relacji, najwięcej dokuczał mu nie swąd spalonych ciał, ale różne zaniedbania administracyjne. Wprowadzenie cyklonu powitał z radością, gdyż to usprawniło likwidację milionów Żydów [...]. Można powiedzieć, że w Oświęcimiu, jak zresztą na innych placówkach, tak był zajęty unikaniem »drobnych, na pozór nic nie znaczących zaniedbań«, że prawie nie zauważył pieców krematoryjnych⁸”.

Plany Franza Hössa dotyczące drogi zawodowej syna nigdy się nie urzeczywistniły. 1 sierpnia 1916 roku młody Höss przystąpił jako ochotnik do zapasowego szwadronu 21. Pułku Dragonów Badeńskich. Natomiast po powrocie z frontu, zamiast wstąpić do seminarium duchownego bądź do klasztoru, 1 lutego 1919 roku przyłączył się do organizowanego właśnie w Królewcu Wschodniopruskiego Korpusu Ochotniczego. W związku z tym znalazł się w formacji Gerharda Rossbacha. Freikorps Rossbacha (zwany też Bałtyckim Korpusem Ochotniczym) miał za zadanie wspierać dążenia Niemców bałtyckich do ich zespolenia z państwem niemieckim oraz walkę z siłami rewolucyjnymi⁹. Korpus ten „był organizacją wybitnie prawicowo-nacjonalistyczną

⁷ R. Höss: *Wspomnienia...*, s. 28.

⁸ A. Kępiński, M. Norwid: *Z psychopatologii „nadmudzi”. Uwagi na marginesie autobiografii Rudolfa Hössa*. „Przegląd Lekarski”. Nr 1a. Red. J. Bogusz. Kraków 1962, s. 84.

⁹ J. Rawicz: *Dzień...*, s. 18.

o ideologii reakcyjno-kontrewolucyjnej¹⁰. Z formacją Rossbacha Rudolf Höss znalazł się na Łotwie, gdzie walczył przeciwko oddziałom rewolucyjnym, za co 4 stycznia 1920 roku został odznaczony Krzyżem Bałtyckim¹¹. Po zakończeniu walk na Łotwie powrócił z korpusem do Niemiec, gdzie odbył w styczniu 1920 roku przeszkolenie wojskowe. Zaraz potem, już w kwietniu 1920 roku, został skierowany na teren Zagłębia Ruhry, gdzie zwalczał zwolenników porozumienia z Francją oraz walczył z komunistami, którzy zorganizowali tam powstanie. W maju 1921 roku brał udział w walkach przeciwko powstańcom polskim na Górnym Śląsku, za co został odznaczony Orłem Śląskim¹². W roku następnym wstąpił do NSDAP, otrzymując numer legitymacji członkowskiej 3240¹³. Za udział w samosądzie, w wyniku którego zamordowano Waltera Kadowa, przyszedł komendant KL Auschwitz-Birkenau został w 1924 roku skazany na dziesięć lat pozbawienia wolności. Wyszedł jednak z więzienia o wiele wcześniej. Po blisko sześciu latach spędzonych w więziennej celi Höss dowiedział się, że na podstawie ustawy amnestyjnej z dnia 14 lipca 1928 roku zostaje on przedwcześnie zwolniony. Od tej pory rozpoczął się kolejny, zupełnie inny od poprzedniego, etap jego życia.

Po opuszczeniu murów więziennych Höss nawiązał kontakt ze Związkiem Artamanów¹⁴, o którego istnieniu dowiedział się, przebywając jeszcze w więzieniu w Brandenburgu. Artamani byli grupą charakteryzującą się poglądami, które łączyły w sobie nacjonalizm, nastroje antycywilizacyjne, pragermańską romantykę ziemi z osadnictwem na roli¹⁵. „Związek Artamanów była to wspólnota młodych chłopców i dziewcząt wyłoniona z ruchów młodzieżo-

¹⁰ S. Batawia: *Rudolf Höss komendant obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu*. „Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce” 1951, T. 7, s. 33.

¹¹ M. Deselaers: *Bóg a Zło w świetle biografii i wypowiedzi Rudolfa Hössa komendanta Auschwitz*. Przeł. J. Zychowicz. Kraków 1999, s. 53.

¹² Ibidem.

¹³ APMO, Proces Hössa, sygn. Dpr-Hd/21, k. 22, Protokół z zeznania Rudolfa Hössa z dnia 29 września 1946 roku.

¹⁴ Związek Artamanów (Artamannenbund) był organizacją powstałą w 1924 roku. Pierwotnie jego głównym celem było wyparcie polskich sezonowych robotników rolnych, którzy stanowiąc tanią siłę roboczą, zagrażali swą obecnością na tym terenie niemieckim chłopom. Praca i projekty osiedleńcze miały służyć kolonizacji wewnętrznej, a na terenach położonych w pobliżu granicy polskiej posiadały one charakter militarny. Ideologia ta łączyła Artamanów z przekonaniem narodowych socjalistów, postulujących zwiększenie niemieckiej przestrzeni życiowej. W grudniu 1930 roku doszło w obrębie tej organizacji do rozłamu. Wprawdzie większość członków Związku Artamanów należała do NSDAP, ale część z nich postanowiła się odłączyć i utworzyła i nową grupę o nazwie Artamani, Wspólnoty Rolnicze i Osadnicze (Die Artamannen, Bündische Gemeinden für Landarbeit und Siedlung). Trudności finansowe i liczne rozłamy przyczyniły się do upadku ruchu Artamanów, gdyż część jego członków została przymusowo wcielona do Hitler — Landjugend, a reszta struktur uległa rozwiązaniu w 1935 roku. Zob. M. Deselaers: *Bóg...*, s. 65—69.

¹⁵ J.C. Fest: *Oblicze Trzeciej Rzeszy*. Przeł. E. Werfel. Warszawa 1970, s. 466.

wych wszystkich nacjonalistycznych kierunków partyjnych, wspólnota ludzi, którzy chcieli przede wszystkim powrócić z niezdrowego [...] życia miasta do zdrowego, twardego, lecz naturalnego sposobu życia na wsi”¹⁶. Höss zafascynowany tą ideologią postanowił niezwłocznie przyłączyć się do tej wspólnoty. Swój akces do Związku Artamanów zgłosił zimą 1929 roku i po otrzymaniu 1 marca 1929 roku¹⁷ legitymacji związkowej został jego członkiem. Rozpoczął wówczas pracę na roli, początkowo na terenie Brandenburgii, później na Pomorzu, gdzie poznał swą przyszłą żonę — Hedwig Hensel.

Spokojne życie i praca na roli skończyły się, gdy w kwietniu 1934 roku został on oficjalnym członkiem tzw. Allgemeine SS. Uzyskał wówczas legitymację członkowską o numerze 193616 i stopień unterscharführera¹⁸ Allgemeine SS¹⁹. Należąc do Allgemeine SS, nadal pracował w swoim cywilnym zawodzie i tylko w wolnym czasie uczestniczył w odpowiednich imprezach organizowanych przez SS. Wkrótce sam został poproszony o zorganizowanie jednej z takich imprez. Zarządca majątku, w którym Höss pracował, poprosił go jako byłego kawalerzystę, aby w ramach Allgemeine SS zorganizował oddział jazdy. Rudolf Höss zgodził się na to, w związku z czym w czerwcu 1934 roku wziął czynny udział w pokazie wszystkich oddziałów kawaleryjskich SS w Szczecinie²⁰. Był na nim obecny sam Heinrich Himmler, który po obejrzeniu pokazu wezwał do siebie Hössa i zaproponował mu przejście do aktywnej służby w SS. Po naradach z małżonką Höss przyjął propozycję szefa SS. Jak tłumaczył tę decyzję, zrobił to, ponieważ skusiła go perspektywa powrotu do żołnierskiego stylu życia, a ponadto dano mu nadzieję na szybki awans i związane z tym finansowe korzyści²¹. Decyzja o przejściu do aktywnej służby w SS była dla Rudolfa Hössa jedną z przełomowych. Zakończyła ona spokojny etap jego życia związany z pracą na roli, od tej pory rozpoczął on służbę w niemieckich obozach koncentracyjnych. Najpierw w Dachau, gdzie służbę pełnił na różnych stanowiskach w oddziale wartowniczym i w zarządzie obozu. Tam też awansował do stopnia untersturmführera²². Następnie w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen, gdzie w maju 1938 roku objął funkcję adiutanta komendanta, a potem schutzhaftlagerfüh-

¹⁶ R. Höss: *Wspomnienia...*, s. 56.

¹⁷ APMO, Materiał do procesu SS-manów, T. 196a, sygn. Mat/1686, k. 638, Legitymacja członka Związku Artamanów Rudolfa Hössa.

¹⁸ Unterscharführer SS — polski odpowiednik tego stopnia to plutonowy. Zob. H. Höhne: *SS zakon...*, s. 596.

¹⁹ APMO, Proces Hössa, sygn. Dpr-Hd/21, k. 23, Protokół z zeznania Rudolfa Hössa z dnia 29 września 1946 roku.

²⁰ M. Deselaers: *Bóg...*, s. 75.

²¹ R. Höss: *Wspomnienia...*, s. 57.

²² Untersturmführer SS — polski odpowiednik tego stopnia to podporucznik. Zob. H. Höhne: *SS zakon...*, s. 596.

ra²³ i doszedł na tym stanowisku do stopnia *hauptsturmführera*²⁴. W Sachsenhausen przebywał Höss do maja 1940 roku, kiedy to objął stanowisko *lagerkommandanta*²⁵ w Oświęcimiu. Tam też awansował do stopnia *obersturmbannführera*²⁶. Funkcję komendanta obozu oświęcimskiego sprawował do jesieni 1943 roku²⁷.

11 listopada 1943 roku *Obersturmbannführer* Arthur Liebehenschel, dotychczasowy szef Urzędu D I w Grupie Urzędów D w Głównym Urzędzie Gospodarki i Administracji SS (SS WVHA), przejął komendanturę KL Auschwitz. Natomiast Höss zastąpił Liebehenschla na jego poprzednim stanowisku, a więc kierownika Urzędu D I, co wiązało się z jego przeprowadzką z Oświęcimia do Berlina²⁸. Na tym stanowisku pozostał on aż do końca wojny.

Po zakończeniu działań wojennych Höss ukrywał się. Pod fałszywym nazwiskiem — jako Franz Lang — wyjechał na wyspę Sylt, do szkoły łączności niemieckiej marynarki. Podał się tam za bosmana. Wraz z innymi marynarzami, jako jeńiec wojenny, dostał się Höss do niewoli w brytyjskiej strefie okupacyjnej, gdzie podał, że z zawodu jest rolnikiem. Na tej podstawie, po przejściu wszystkich angielskich kontroli, został skierowany do pracy w gospodarstwie chłopskim koło Flensburga²⁹. Jednakże w tym czasie trwały już poszukiwania pierwszego komendanta KL Auschwitz. Poszukiwała go działająca w brytyjskiej strefie okupacyjnej angielska Polowa Policja Bezpieczeństwa (Field Security Police). Całą akcją poszukiwawczą kierował brytyjski prokurator w stopniu podpułkownika — Gerald Draper. Akcja nosiła kryptonim „Stóg siana”³⁰. Po kilku miesiącach ukrywania się, w nocy 11 marca 1946 roku pierwszy komendant KL Auschwitz został aresztowany przez angielską Polową Policję Bezpieczeństwa. Po wstępnym przesłuchaniu przekazano go Międzynarodowemu Trybunałowi Wojskowemu w Norymber-

²³ *Schutzhaftlagerführer* w strukturze administracyjnej obozów koncentracyjnych podlegał pod III Wydział, tzw. obóz. *Schutzhaftlagerführer* był odpowiedzialny za całokształt spraw więziarskich (takich jak na przykład: wyżywienie, zakwaterowanie, dyscyplinę, sposób traktowania więźniów) właściwego obozu. Zob. A. Lasik: *Zaloga SS w KL Auschwitz w latach 1940—1945*. Bydgoszcz 1994, s. 25.

²⁴ *Hauptsturmführer* SS — polski odpowiednik tego stopnia to kapitan. Zob. H. Höhne: *SS zakon...*, s. 596.

²⁵ *Lagerkommandant* — komendant całego obozu macierzystego wraz z jego ewentualnymi filiami. Odpowiedzialny był za całokształt spraw obozowych. Zob. A. J. Kamiński: *Hitlerowskie obozy koncentracyjne i ośrodki masowej zagłady w polityce imperializmu niemieckiego*. Poznań 1964, s. 157.

²⁶ *Obersturmbannführer* SS — polski odpowiednik tego stopnia to podpułkownik. Zob. H. Höhne: *SS zakon...*, s. 596.

²⁷ J. Sehn: *Wstęp*. W: R. Höss: *Wspomnienia...*, s. 11.

²⁸ D. Czech: *Kalendarz wydarzeń w KL Auschwitz*. Oświęcim-Brzezinka 1992, s. 555.

²⁹ A. Cyra: *Ludobójca...*, s. 13.

³⁰ *Ibidem*, s. 14.

dze, przed którym zeznawał jako świadek obrony szefa Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA) — Ernsta Kaltenbrunnera. Wraz z zakończeniem przesłuchań w Norymberdze Höss został przekazany władzom polskim. 25 maja 1946 roku przybył do Warszawy i został oddany do dyspozycji prokuratury Najwyższego Trybunału Narodowego³¹, którego celem było sędzenie zbrodniarzy wojennych. Najwyższy Trybunał Narodowy miał być niejako krajowym odpowiednikiem Międzynarodowego Trybunału Wojskowego w Norymberdze. W więzieniu Höss był przesłuchiwany w sumie trzynaście razy, w okresie od 29 września 1946 roku do 11 stycznia 1947 roku³². Śledztwem, w toku postępowania przygotowawczego do rozprawy, kierował sędzia śledczy Jan Sehn. Poza sędzią śledczym Rudolf Höss miał w tym okresie częsty kontakt również z kryminologiem, lekarzem i psychologiem — Stanisławem Batawią. Za jego namową były komendant zdecydował się spisać w przerwie między śledztwem a rozprawą główną, na przełomie stycznia i lutego 1947 roku swoje wspomnienia. Zatytułował je: *Moja dusza. Rozwój, życie i przeżycia*.

Śledztwo zakończono 11 stycznia 1947 roku. Zaraz potem ustalono datę i miejsce procesu Rudolfa Hössa. Uznano, że powinien on odbyć się w Warszawie przed Najwyższym Trybunałem Narodowym, któremu miał przewodniczyć sędzia Alfred Eimer. Termin pierwszej rozprawy wyznaczono na 11 marca 1947 roku, na godzinę 9 rano³³. Z urzędu przyznano Hössowi dwóch adwokatów do obrony: Tadeusza Ostaszewskiego oraz Franciszka Umbreita³⁴. W procesie tym zeznawali świadkowie niemal z całej Europy — byli więźniowie KL Auschwitz. Przybyło wielu korespondentów prasowych z zagranicy. W czasie procesu Rudolf Höss zachowywał się spokojnie. Wyczerpująco odpowiadał na wszystkie pytania prokuratorów. W przeciwieństwie do SS-manów, służących w KL Auschwitz, a sądzonych w oddzielnym procesie, nie wypierał się niczego. Nie starał się wybielić samego siebie, przyznał, że jest odpowiedzialny za zbrodnie, które miały miejsce w obozie oświęcimskim.

³¹ Najwyższy Trybunał Narodowy został powołany do życia dekretem z dnia 22 stycznia 1946 roku, następnie znowelizowany na mocy dekretu z 17 października 1946 roku. Najwyższy Trybunał Narodowy miał charakter sądu ławniczego. Orzekał w składzie trzech sędziów zawodowych oraz czterech ławników, którzy musieli być posłami do Sejmu Ustawodawczego. Wyroki Trybunału były ostateczne i nie można się było od nich odwołać. Oskarżony miał prawo do obrońcy z wyboru lub z urzędu. Obrońcę z urzędu wyznaczał prezes Trybunału spośród adwokatów zamieszkałych w Polsce. Prezesem Najwyższego Trybunału Narodowego został Waław Barcikowski. Zob. T. Cyprian, J. Sawicki: *Procesy wielkich zbrodniarzy wojennych w Polsce*. Łódź 1949, s. 3.

³² M. Deselaers: *Bóg...*, s. 233.

³³ T. Cyprian, J. Sawicki: *Oskarżamy*. Kraków 1949, s. 161.

³⁴ T. Cyprian, J. Sawicki, M. Siewierski: *Głos ma prokurator*. Warszawa 1966, s. 169.

Proces, toczący się przeciwko pierwszemu komendantowi KL Auschwitz, zakończył się 29 marca 1947 roku. 2 kwietnia 1947 roku Najwyższy Trybunał Narodowy ogłosił wyrok skazujący Rudolfa Hössa na karę śmierci przez powieszenie³⁵. Oskarżony przyjął to ze spokojem, zdawał sobie sprawę, że otrzyma najsurowszy wymiar kary³⁶.

Na wykonanie wyroku oczekiwać miał on w więzieniu w Wadowicach, gdzie został przewieziony z Warszawy 4 kwietnia 1947 roku³⁷. Tam postanowił się nawrócić i poprosił o spotkanie z księdzem katolickim. 10 kwietnia 1947 roku do więzienia w Wadowicach przybył jezuita Władysław Lohn, który odbył wielogodzinną rozmowę z byłym komendantem. Następnie Rudolf Höss wypowiadał się i złożył katolickie wyznanie wiary, oficjalnie powracając w ten sposób do Kościoła³⁸. Przed śmiercią napisał też pożegnalny list do żony oraz dzieci, a także złożył oświadczenie, w którym prosił naród polski o wybaczenie.

Początkowo egzekucja Hössa przez powieszenie miała odbyć się 15 kwietnia 1947 roku na terenie byłego obozu Auschwitz, dokładnie w miejscu, gdzie wcześniej znajdował się barak oddziału politycznego, między willą Hössa a krematorium. Władze polskie obawiały się jednak, by nie doszło do próby samosądu, gdyż w miejscu tym zebrał się ogromny tłum ludzi. W tej sytuacji ustalono, że egzekucja odbędzie się następnego dnia³⁹. W wyznaczonym dniu, czyli w środę 16 kwietnia 1947 roku, o godzinie 8 rano przywieziono Rudolfa Hössa z Wadowic do Oświęcimia. Wprowadzono go do budynku byłej komendantury, gdzie zgodnie z jego życzeniem podano mu filiżankę kawy. Następnie zamknięty został w bunkrze na bloku 11, by w tym czasie jeńcy niemieccy mogli zmontować przygotowaną specjalnie dla niego szubienicę⁴⁰. O godzinie 10 wypuszczono go z bunkra i zaprowadzono na szubienicę, stojącą nieopodal willi, w której kilka lat wcześniej mieszkał. Przy wykonaniu egzekucji obecny był salezjanin z Oświęcimia — ks. Tomasz Zaremba. Rudolf Höss zachowywał się bardzo spokojnie. Wykonanie egzekucji nastąpiło dokładnie o godzinie 10.08⁴¹.

Tak przedstawiają się najważniejsze fakty z życia Rudolfa Hössa. W dalszej części artykułu skupię się na trzech najistotniejszych latach z jego życia: 1940—1943, czyli na okresie, w którym pełnił funkcje komendanta

³⁵ APMO, Proces Hössa, sygn. Dpr-ZO/32, k. 7, Sentencja wyroku z dnia 2 kwietnia 1947 roku.

³⁶ J. Gumkowski, T. Kułakowski: *Zbrodniarze hitlerowscy przed Najwyższym Trybunałem Narodowym*. Warszawa 1961, s. 172.

³⁷ M. Deselaers: *Bóg...*, s. 245.

³⁸ Ibidem, s. 248.

³⁹ Ibidem, s. 253.

⁴⁰ J. Gumkowski, T. Kułakowski: *Zbrodniarze hitlerowscy...*, s. 173.

⁴¹ M. Deselaers: *Bóg...*, s. 245.

KL Auschwitz. Zrekonstruję wizerunek Hössa, jaki wyłania się z zeznań byłych więźniów, ukazując jego zachowanie wobec Polaków, Rosjan i Żydów oraz relacje łączące go, jako przełożonego, z podwładnymi mu SS-manami. Opiszę, jak traktował on więźniów oraz zastanowię się, czy wykazywał się wobec nich okrucieństwem. Scharakteryżuję jego stosunek do wykonywania powierzonych mu obowiązków. Porównam także wizerunek komendanta widzianego oczyma więźniów, z tym wizerunkiem, który Höss przedstawił w swej autobiografii i w zeznaniach składanych podczas procesu przed Najwyższym Trybunałem Narodowym w Warszawie.

W swej autobiografii Rudolf Höss nieustannie podkreślał, że starał się urządzić obóz koncentracyjny w Oświęcimiu najlepiej, jak było to możliwe. Zaznaczał, że nie miał pojęcia o tragicznych warunkach życia więźniów w obozie, a jeśli nawet wiedział o tym, to i tak nie mógł niczego zmienić, był bowiem uzależniony od dobrej woli kierownictwa obozu. Twierdził, że jego podwładni nie zawsze o wszystkim go informowali, niejednokrotnie zdarzało się, że ukrywali przed nim to, co działo się w obozie. On sam natomiast, piastując tak odpowiedzialne stanowisko, nie był w stanie wszystkiego osobiście dopilnować. „O ileż trudniej — pisał — jest dowiedzieć się komendantowi obozu, czy jego rozkazy dotyczące więźniów, często o doniosłym znaczeniu, zostały właściwie zrozumiane i dokładnie wykonane. Najczęściej kontrola nad sprawowaniem władzy nad więźniami jest niemożliwa. Komendant ze względów prestiżowych i dyscyplinarnych nie może wypytywać więźniów o ich przełożonych z SS [...]. Wiem dobrze, jak w obozie zmienia się, a nawet całkowicie przekręca niewygodne rozkazy w sposób nieuchwytny dla rozkazodawcy [...]. Nie byłem w stanie osobiście dopilnować, jak w szczegółach wykonywano moje rozkazy”⁴². Jak wynika z przytoczonego fragmentu, Höss nie wiedział o wszystkim, co działo się w obozie, którego był komendantem. Rozkazy jego były rzekomo często przekręcane przez podwładnych. W swej autobiografii był komendant przedstawił siebie jako jedyne, któremu zależało na tym, by w obozie były jak najlepsze warunki. Natomiast cała reszta personelu, począwszy od kierownika obozu, a skończywszy na więźniach funkcyjnych, źle wykonywała powierzone jej zadania. To z ich winy w obozie panowały takie, a nie inne warunki. To oni okradali więźniów i wykorzystywali ich pracę do celów prywatnych. Höss natomiast, jak sam twierdził, robił wszystko, by było lepiej, pozostali jednak, i to zarówno jego podwładni, jak i przełożeni, utrudniali mu pracę. „Ponieważ mój *Verwaltungsführer*⁴³ był skończonym głupcem — pisał komendant — musiałem zamiast niego

⁴² R. Höss: *Wspomnienia...*, s. 98.

⁴³ *Verwaltungsführer* — w obozie odpowiadał za sprawy kwater, żywienia, odzieży oraz za działalność finansową obozu. Podlegał służbowo komendantowi obozu macierzystego i był jego doradcą w administrowaniu majątkiem obozowym. Zob. A. Lasik: *Zaloga SS...*, s. 104.

odbywać wszystkie konferencje w sprawie wyżywienia załogi i więźniów, dostawy chleba, mięsa czy ziemniaków. Musiałem nawet jeździć na wieś w poszukiwaniu słomy. Ponieważ nie mogłem liczyć na pomoc Inspektoratu Obozów Koncentracyjnych, musiałem sam sobie radzić: wyłudzić podstępnie samochód osobowy i ciężarowy, potrzebne do nich materiały pędne, jeździć do Rabki i Zakopanego po kotły do kuchni więźniów, a w Sudety po łóżka i sienniki”⁴⁴.

Jaka jest więc prawda o Rudolfie Hössie? Czy faktycznie komendanta obchodził los więźniów, czy nie wiedział, co robią w obozie jego podwładni? Sam Höss często podkreślał, że nigdy nie akceptował okropności w obozach koncentracyjnych i gdy tylko mógł, przeciwstawiał się im. Niejednokrotnie jednak z powodu nieudolności swych podwładnych oraz ukrywania przed nim prawdy, nie mógł zapobiec tym okropnościom. Podczas procesu Höss wielokrotnie powtarzał: „[...] żadną miarą nie było tak, bym ja wiedział o wszystkim, co się działo w obozie. Odnośnie tego punktu, to po pierwsze mój zakres działania był za wielki, a po drugie bardzo wiele rzeczy przede mną ukrywano. O wielu wypadkach dopiero teraz podczas śledztwa i podczas procesu dowiedziałem się”⁴⁵. Słowom tym przeczą jednak liczne zeznania więźniów, wskazujących na to, iż komendant bardzo interesował się tym, co działo się w obozie, i osobiście wszystkiego doglądał.

W swej autobiografii Höss podkreślał też, że chciał z KL Auschwitz uczynić wzorcowy obóz. Przy czym nie chodziło, bynajmniej, o zapewnienie więźniom odpowiednich warunków bytowych, lecz o uczynienie Oświęcimia najlepszym obozem koncentracyjnym ze wszystkich już istniejących. Miał ambicję utworzenia największego, najbardziej wydajnego — pod względem gospodarczym, a potem również pod względem uśmiercania ludzi — obozu. Los więźniów tak naprawdę był mu obojętny. Uskarżając się na nieudolność swych współpracowników i podwładnych, sprawiał wrażenie, jak gdyby obchodziło go nieludzkie traktowanie przez nich więźniów. Nieustannie podkreślał swoją troskę o sprawy obozu, ciągłe zabieganie, brak czasu, ciężką pracę oraz to, że nikt ze współpracowników go nie rozumiał, wszyscy natomiast oszukiwali go i przekręcali jego rozkazy. To wszystko nie świadczy jednak, że komendantowi przeszkadzały te liczne okropności mające miejsce w obozie. W rzeczywistości nie rozczulał się on nad sytuacją więźniów, lecz nad swoim własnym losem. Losem człowieka, który starał się jak najlepiej wykonać powierzone mu zadania, ale nikt tego nie doceniał, nikt nie rozumiał jego poświęcenia oraz trudu wkładanego w pracę. Doskonale ujął to Joachim Fest w swej pracy *Oblicze Trzeciej Rzeszy*, w której stwierdził:

⁴⁴ R. Höss: *Wspomnienia...*, s. 98—99.

⁴⁵ APMO, Proces Hössa, sygn. Dpr-Hd/30, k. 111, Przemówienie końcowe Rudolfa Hössa z dnia 29 marca 1947 roku.

„Rzeczowe trudności, a nie nieludzkość zleconego mu zadania doprowadzały go przeważnie do rozpacz i do tej mizantropijnej goryczy, o jakiej mówi z obrażoną miną człowieka, którego wysiłki nie są doceniane. W jego letargu moralnym cierpienia milionów ofiar wydawały mu się drobnostką wobec technicznych trudności kata”⁴⁶.

Jaki faktycznie był zatem Rudolf Höss? Jak zachowywał się, pełniąc w latach 1940—1943 funkcję komendanta KL Auschwitz? Czy prawdą jest to, co napisał on na swój temat w autobiografii? Jaki był jego stosunek do więźniów i czy obchodził go ich los? Na te i wiele innych pytań można znaleźć odpowiedź, czytając protokoły z zeznań byłych więźniów KL Auschwitz, będących świadkami oskarżenia w czasie procesu przeciwko Rudolfowi Hössowi. Wielu więźniów spotkało komendanta na terenie obozu, niektórzy nawet pracowali w jego domu bądź w ogrodzie. Z ich obserwacji wyłania się inny niż ten, przedstawiony w autobiografii, wizerunek Rudolfa Hössa.

Jeśli chodzi o wygląd zewnętrzny komendanta, zeznający świadkowie raczej nie wypowiadali się na ten temat, skupiając swą uwagę głównie na charakterze i zachowaniu oskarżonego. Niemniej jednak zachowało się parę informacji dotyczących tej kwestii. Przebywający w obozie od 2 maja 1941 roku Marian Dębkowski tak stwierdził: „Höss, miał on lat około 46, wzrostu około 1,75 m, krępej budowy, twarz owalna, oczy duże, wylupiate, ciemny blondyn — łysawy, jeździł on samochodem, na którym była wymalowana trupia czaszka i piszczelę skrzyżowane”⁴⁷. Inny świadek opisał go następująco: „Jeśli chodzi o osobę komendanta obozu w Oświęcimiu, Rudolfa Hössa, to był to człowiek inteligentny, zawsze elegancko ubrany, ogólnie uważany za zbrodniarza w rękawiczkach”⁴⁸. Z kolei były więzień Jerzy Rawicz po latach tak wspominał komendanta: „Niepozorny, raczej niski, z nijaką, obojętną i nie rzucającą się w oczy twarzą, trudną do zapamiętania [...]”⁴⁹. Stanisław Batawia, który przeprowadził z oskarżonym szereg rozmów, stwierdził, że „Myśląc o Rudolfie Hössie, należy go sobie wyobrazić jako czterdziestokilkuletniego osobnika średniego wzrostu, budowy prawidłowej, o niepozornym wyglądzie. W ostatnim okresie swego życia, po znalezieniu się w więzieniu, był komendant Oświęcimia miał zawsze wyraz twarzy skupiony, bardzo poważny [...], spojrzenie miał smutne, wysokie czoło zryte było głębokimi zmarszczkami; przenikliwie patrzące na rozmówcę oczy [...]”⁵⁰.

⁴⁶ J.C. Fest: *Oblicze...*, s. 470.

⁴⁷ APMO, Proces Hössa, sygn. Dpr-Hd/5a, k. 67, Protokół z zeznania Mariana Dębkovskiego z dnia 25 listopada 1946 roku.

⁴⁸ APMO, Proces Hössa, sygn. Dpr-Hd/8a, k. 162, Protokół z zeznania Władysława Plaskury z dnia 15 listopada 1946 roku.

⁴⁹ J. Rawicz: *Dzień...*, s. 291.

⁵⁰ S. Batawia: *Rudolf Höss...*, s. 26.

Jakże różny był wizerunek Hössa więźnia od wizerunku Hössa komendanta. Człowiek, który w latach 1940—1943 pełnił funkcję lagerkomandanta KL Auschwitz, według zeznań świadków spacerował zawsze po obozie z ironicznym uśmiechem. Wiele osób podkreślało w swych zeznaniach, że Rudolf Höss, patrząc na to, jak traktowani są więźniowie, bądź zachowywał się obojętnie, bądź też szyderczo uśmiechał. Żaden ze świadków nie zauważył, aby komendant faktycznie przejmował się losem więźniów. Przeciwnie, wielu z nich widziało satysfakcję, z jaką obserwował warunki życia w obozie. Ryszard Kordek wspominał w swych zeznaniach: „O ile chodziło o osobisty stosunek Rudolfa Hössa, to był poprawny o tyle, iż sam nigdy więźniów nie bił, nie znęcał się nad nimi, a jedynie szyderczo uśmiechał”. Dalej wspominał świadek procesu: „Widziałem, jak Rudolf Höss wybierał więźniów do tzw. celi śmierci (za ucieczkę innych więźniów). Spokojnie i poważnie, miał stale jedną maskę na twarzy”⁵¹. Więzień z numerem 226 — Jan Krokowski — zeznał: „Höss brał udział we wszystkich akcjach niszczenia ludzi w obozie oświęcimskim. Był obecny przy wszystkich egzekucjach, przyglądał się im z ironicznym uśmiechem. Z tym samym uśmiechem przyjmował defiladę wracających z pracy kommand muzulmanów [...], Höss stał i uśmiechał się. Wówczas widząc to, mówiliśmy między sobą, że jest on przecież tym człowiekiem, który przez jedno swoje słowo mógłby ulżyć tym ludziom. Höss jednak tego nie zrobił. Wprost przeciwnie, jeździł on po najcięższych kommandach, osobiście doglądał pracy więźniów i wytykał im opieszałość, co dla tych, na których zwrócił on uwagę, było równoznaczne z wyrokiem śmierci, gdyż takich po jego odjeździe zabijali kapowie”⁵². Ironicznie uśmiechającego się komendanta widywał także, pracujący jako tapicer w magazynie odzieżowym, Stefan Wolny: „Höss przychodził często do magazynów odzieżowych i w czasie jego bytności kapowie i SS-mani towarzyszący mu bili więźniów i poganiali ich do pracy [...]. Höss na bicie więźniów nie reagował, udawał, że tego nie widzi, bardzo często uśmiechał się i odwracał w inną stronę”⁵³.

Jak wskazują przytoczone zeznania, nieprawdą jest zatem, jakoby Höss nie wiedział, jak jego podwładni traktują więźniów. Kłamstwem jest też jego rzekome współczucie dla więźniów oraz fakt, że nie mógł zmienić ich sytuacji. W rzeczywistości nie chciał on wcale tej sytuacji zmienić, nie uważał bowiem więźniów za równych sobie i nie miał do nich podejścia ludzkiego, lecz wyłącznie służbowe. Cechy charakteru, którymi odznaczał się kome-

⁵¹ APMO, Proces Hössa, sygn. Dpr-Hd/4, k. 16, Protokół z zeznania Ryszarda Kordka z dnia 16 lipca 1946 roku.

⁵² APMO, Proces Hössa, sygn. Dpr-Hd/4, k. 22, Protokół z zeznania Jana Krokowskiego z dnia 17 lipca 1946 roku.

⁵³ APMO, Proces Hössa, sygn. Dpr-Hd/4, k. 89, Protokół z zeznania Stefana Wolnego z dnia 15 sierpnia 1946 roku.

dant, a które zwróciły uwagę więźniów, to przede wszystkim duma i zarozumiałość. „Właściwości charakteru tego człowieka [...] to: buta, zarozumiałość, brutalność i konsekwencja w niszczeniu wszystkiego, co nie niemieckie”⁵⁴. Kazimierz Smoleń wspominał: „Zaobserwowałem u niego dumną pruską postawę i zadowoloną minę”⁵⁵.

Znaczne grono świadków podkreślało, że komendant nigdy osobiście nie bił więźniów (nieliczne odmienne zeznania wynikają prawdopodobnie z pomylenia komendanta z kimś innym). Nie znaczy to jednak, że nie był wobec nich okrutny. To, że osobiście nikogo nie uderzył, nie jest równoznaczne z tym, iż nie przyzwalał na bicie więźniów. W rzeczywistości Höss wręcz zachęcał do tego SS-manów. Więzień nazwiskiem Dybus zeznał: „Höss sam osobiście nie bił więźniów, lecz idąc zawsze w towarzystwie SS-mana niższej szarży, starał się znaleźć jakiś pretekst do pobicia i maltretowania spotkanego więźnia, do czego pobudzał towarzyszącego mu SS-mana. Do tego, aby być skatowanym przy spotkaniu się z Hössem wystarczyło, że więzień nie stanął w odpowiedniej odległości od niego lub na czas się nie uklonił [...]”⁵⁶.

Z tą opinią nie zgadzał się jednak sam oskarżony, który w czasie procesu zeznał, że nie tylko nie bił więźniów, lecz także zabraniał tego robić swym podwładnym. Przeczył, jakoby widział osobiście maltretowanie jakiegoś więźnia i przyglądał się temu z pobłażliwym uśmiechem⁵⁷. Te słowa komendanta nie znalazły jednak odzwierciedlenia w zeznaniach licznych świadków. Byli więźniowie zgodnie przyznali, że wprowadzie oskarżony osobiście nie znęcał się nad nimi, wiedział jednak o tym i przyzwalał na to swym podwładnym. To, że osobiście nie uderzył nigdy żadnego więźnia, nie świadczyło bynajmniej, że posiadał on jakiegokolwiek skrupuły. Postawa ta wynikała raczej z faktu, że żywił on głęboką pogardę dla więźniów i w związku z tym nie zamierzał zniżać się do poziomu jakiegokolwiek kontaktu z nimi. Uważał, że jemu jako komendantowi nie wypada tego robić, zachęcał więc do tego swych podwładnych. Świadczy o tym wypowiedź więźnia Erwina Olszówki, który stwierdził: „[...] osobiście nie widziałem, że oskarżony Höss znęcał się nad więźniami, ale [...] miał on wpływ na SS-manów, wykonywali oni posłusznie jego rozkazy, [...] więźniów nie uznawał jako ludzi, przede wszystkim, jeśli chodzi o stosunek do więźniów,

⁵⁴ APMO, Proces Hössa, sygn. Dpr-Hd/27, k. 102, Protokół z zeznania Władysława Fejkiela z dnia 20 marca 1947 roku.

⁵⁵ APMO, Proces Hössa, sygn. Dpr-Hd/24a, k. 97, Protokół z zeznania Kazimierza Smolenia z dnia 13 marca 1947 roku.

⁵⁶ APMO, Proces Hössa, sygn. Dpr-Hd/4a, k. 158, Protokół z zeznania Mariana Dybusa z dnia 28 września 1946 roku.

⁵⁷ APMO, Proces Hössa, sygn. Dpr-Hd/21a, k. 95, Protokół z zeznania Rudolfa Hössa z dnia 6 stycznia 1947 roku.

to czuł się on wyższy od nich i dlatego nigdy bezpośrednio nie kontaktował się z więźniami⁵⁸.

Liczni świadkowie przedstawili też sposób, w jaki komendant karał więźniów za ucieczkę z obozu bądź też za inne przewinienia. Władysław Plaskura wspominał: „Z zarządzeń, wydanych przez Hössa, względnie za jego wiedzą i aprobatą, zasługują na wzmiankę: wprowadzenie kar chłosty, słupka, Stehbunkrów, zakaz noszenia obuwia jesienią 1940 roku oraz nakaz wykonywania wszelkich zajęć na terenie obozu podczas dnia biegiem [...]. Podkreślam, że Höss wydał ostre zarządzenie, na podstawie którego nie wolno było w czasie zajęć od godziny 6 do 18 z przerwą godzinną na obiad, załatwiać nawet swoich potrzeb fizjologicznych, nie mówiąc już o zakazie palenia, czy też jedzenia w tym czasie⁵⁹.”

W obozie oświęcimskim nie tylko bicie więźniów, zmuszanie ich do pracy ponad siły przy braku odpowiedniego wyżywienia i zakwaterowania czy też częste egzekucje sprawiały, że wskaźnik zachorowań i śmiertelności więźniów był wysoki. Pewnego rodzaju torturą był w obozie również tak zwany sport, który faktycznie sprowadzał się do zmuszania nowo przybyłych więźniów do wykonywania długotrwałych, męczących ćwiczeń, takich jak np.: marsz, czołganie się, bieg, toczenie się po ziemi pokrytej żwirem. Wielu z nich po takim „sporcie”, któremu towarzyszyło bicie przez SS-manów, nie było już w stanie utrzymać się na nogach⁶⁰. Naocznym świadkiem takiej sytuacji był Stanisław Pawliczek: „[...] pamiętam dokładnie, że przyjechał pierwszy transport z Warszawy w pierwszych dniach sierpnia 1940 roku. Cały transport na polecenie Rudolfa Hössa został [...] popędzony na ćwiczenia [...]. W przeciągu kilkunastu dni z transportu liczącego 1500 ludzi, zostało zaledwie kilkunastu. Tym ćwiczeniom przyglądał się Rudolf Höss i nie reagował zupełnie, a wręcz przeciwnie, ze spokojem obserwował i z uśmiechem, co dodawało bodźca i otuchy tym, którzy przeprowadzali te ćwiczenia⁶¹. Zupełnie inne zdanie w tej kwestii miał oskarżony. Tłumaczył on, że za taki stan rzeczy odpowiadają jego podwładni, którzy źle zrozumieli jego dobre intencje. Zeznał Höss: „Przeprowadzenie ćwiczeń gimnastycznych z tymi więźniami ja nakazałem. Według treści mego rozkazu miał to być istotnie sport, celem utrzymania więźniów w dobrej kondycji fizycznej. O tym, że sport prowadzony przez SS-manów [...] przerodził się w dotkliwą karę, szy-

⁵⁸ APMO, Proces Hössa, sygn. Dpr-Hd/25a, k. 62, Protokół z zeznania Erwina Olszówki z dnia 15 marca 1947 roku.

⁵⁹ APMO, Proces Hössa, sygn. Dpr-Hd/8, k. 163—164, Protokół z zeznania Władysława Plaskury z dnia 15 listopada 1946 roku.

⁶⁰ S. Kłodziński, Z. Ryn: *Patologia sportu w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka*. „Przegląd Lekarski”. Nr 1. Red. J. Bogusz. Kraków 1974, s. 47—48.

⁶¹ APMO, Proces Hössa, sygn. Dpr-Hd/24b, k. 193, Protokół z zeznania Stanisława Pawliczka z dnia 14 marca 1947 roku.

kanę i sposób mordowania więźniów, dowiaduję się dopiero obecnie⁶². Po raz kolejny więc były komendant twierdził, że miał dobre intencje, ale zostały one źle zrozumiane przez jego podwładnych.

Jak zatem widać z przytoczonych fragmentów, zupełnie inaczej rysuje się nam wizerunek pierwszego komendanta KL Auschwitz zapamiętany przez więźniów, a inaczej nakreślony przez niego samego. Rudolf Höss przedstawia siebie samego jako dobrego człowieka, a przede wszystkim wzorowego komendanta, którego nieszczęściem było tylko to, że nikt go nie rozumiał i nie doceniał. Starał się on stworzyć z Oświęcimia wzorcowy obóz, ale wskutek obojętności jego przełożonych oraz niekompetencji podwładnych nie był w stanie tego zrobić. Chciał zapewnić więźniom lepsze warunki zakwaterowania i żywienia, ale nie mógł tego uczynić z powodu przepełnienia obozu. Winą za to obarczał Heinricha Himmlera, który nie udzielił mu w tej kwestii żadnej pomocy⁶³.

Natomiast zupełnie inaczej postrzegali Hössa więźniowie. Im komendant jawił się jako dumny i zarozumiały przedstawiciel rasy panów, który wiedząc o wszystkim, co działo się w obozie, nie zrobił nic, by temu zapobiec. Ze spokojem spoglądał na znęcających się nad więźniami kapo i SS-manów. Wprawdzie sam nie bił więźniów, ale nie dlatego, że uważał to za coś niewłaściwego. Postawa jego wynikała raczej z pogardy, jaką żywił do więźniów. Nie chciał się zniżyć do poziomu obcowania z więźniami, toteż bicie ich zlecał swym podwładnym.

Przez obóz koncentracyjny w Oświęcimiu przewinęło się tysiące więźniów różnych narodowości, najliczniejszą grupę stanowili jednak Żydzi, Polacy i Rosjanie. W czasie procesu przeciwko pierwszemu komendantowi tego obozu zeznawało wielu świadków, którzy opisali, w jaki sposób Rudolf Höss traktował przedstawicieli tych narodowości. Natomiast nieliczne są informacje dotyczące stosunku komendanta do więźniów z innych krajów. Wynika to prawdopodobnie z faktu, że większość zeznających w czasie procesu świadków to Polacy, z tego względu ich zeznania dotyczyły więc głównie sytuacji Polaków w obozie. Świadkowie oskarżenia wypowiadali się także na temat tego, jak Höss traktował radzieckich jeńców wojennych oraz Żydów, gdyż przedstawicieli tych grup narodowych było w obozie najwięcej.

W stosunku do więźniów narodowości polskiej oskarżony zachowywał się bardzo wrogo. Pogardzał Polakami i traktował ich gorzej niż np. więźniów narodowości francuskiej czy niemieckiej. Wielu świadków zeznało, że więźniowie z literą „P” w sposób „szczególny” drażnili komendanta. W związku z tym w obozie mówiono o Hössie jako o tzw. polakożercy

⁶² APMO, Proces Hössa, sygn. Dpr-Hd/21, k. 91, Protokół z zeznania Rudolfa Hössa z dnia 6 stycznia 1947 roku.

⁶³ M. Deselaers: *Bóg...*, s. 167.

(*Polenfresser*). Świadczy o tym zeznanie Mariana Dybusa: „Höss był nazywany przez Polaków w obozie »Polenfresserem«, bo tak nienawidził Polaków, że odnosiło się wrażenie, iż na spotkanie więźnia Polaka doznaje Höss jakiegoś szoku nerwowego”⁶⁴. Pierwszy komendant KL Auschwitz nie tylko nienawidził Polaków, lecz także uważał ich za ludzi gorszej kategorii, za niecywilizowanych dzikusów. Świadczą o tym zeznania Jerzego Pozimskiego: „Na wiosnę 1941 roku oprowadzał Höss jakąś komisję po bloku 3-cim, na którym wówczas mieszkałem. Niedługo przed tym urządzono tam umywalnie i klozety splukiwane. Pokazując te urządzenia członkom komisji, mówił do nich Höss, iż więźniowie polscy uciekali z przestachem, gdy po przyciśnięciu guzika zaczęła z kurka ciec woda, oraz pili wodę z muszli klozetowych, sądząc, że urządzenia tego należy w ten właśnie sposób używać [...]. Słowa te słyszałem, ponieważ byłem w tym czasie w pobliżu. Oczywiście chodziło Hössowi o pokazanie Polaków jako dzikusów”⁶⁵. Uważał on ich za gorszych i głupszych od siebie: „Nienawidził on Polaków, gdy nawet któryś z Polaków znał język niemiecki, Höss nie rozmawiał z nim nigdy wprost, tylko za pośrednictwem kogoś ze swoich podwładnych”⁶⁶. Nie miał bowiem zamiaru zniżać się do rozmowy z polskimi „dzikusami”. Jak można wywnioskować z przywołanych zeznań, Höss darzył więźniów narodowości polskiej wyjątkową niechęcią. Wynikało to być może z tego, że nie uważał Polaków za ludzi w pełnym tego słowa znaczeniu. Były więzień, Władysław Plaskur zeznał: „Obserwując Hössa i jego odnoszenie się do więźniów, nabrałem przekonania, że więźniów, zwłaszcza Polaków, uważał on za nie ludzi”⁶⁷.

Oprócz Polaków znalazło się też w obozie oświęcimskim bardzo wielu Rosjan, a konkretnie radzieckich jeńców wojennych. 22 czerwca 1941 roku, zgodnie z opracowanym wcześniej planem Barbarossa, armia niemiecka zaatakowała ZSRR bez uprzedniego wypowiedzenia wojny. W początkowej fazie wojny niemiecko-radzieckiej Wehrmacht odnosił liczne sukcesy. Przykładowo 29 czerwca 1941 roku Niemcy zdobyli Rygę, 29 sierpnia 1941 roku wkroczyli do Tallina, a już 9 września 1941 roku niemieckie dywizje pancerne zamknęły pierścień oblężniczy wokół Leningradu⁶⁸. Wszystkie te sukcesy

⁶⁴ APMO, Proces Hössa, sygn. Dpr-Hd/4a, k. 158, Protokół z zeznania Mariana Dybusa z dnia 28 września 1946 roku.

⁶⁵ APMO, Proces Hössa, sygn. Dpr-Hd/4, k. 69, Protokół z zeznania Jerzego Pozimskiego z dnia 8 sierpnia 1946 roku.

⁶⁶ APMO, Proces Hössa, sygn. Dpr-Hd/4, k. 22, Protokół z zeznania Jana Krokowskiego z dnia 17 lipca 1946 roku.

⁶⁷ APMO, Proces Hössa, sygn. Dpr-Hd/4, k. 73, Protokół z zeznania Władysława Plaskury z dnia 9 sierpnia 1946 roku.

⁶⁸ J. Brandhuber: *Jeńcy radzieccy w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu*. „Zeszyty Oświęcimskie” 1960, nr 4, s. 6.

spowodowały, że na tyły armii hitlerowskiej zaczęły napływać masy jeńców radzieckich, których przewożono z linii frontu na tereny okupowane. Transportowano ich do obozów koncentracyjnych w celu wykonania tam na nich egzekucji. Przełom jesieni 1941 roku i zimy 1942 roku był okresem masowej zagłady jeńców radzieckich, w tym czasie Wehrmacht odnosił bowiem największe sukcesy na froncie wschodnim i liczone na szybkie zakończenie działań wojennych⁶⁹.

Jednym z obozów koncentracyjnych, w którym miano dokonać eksterminacji radzieckich jeńców wojennych, był obóz zarządzany przez Rudolfa Hössa. Jeszcze przed wybuchem wojny niemiecko-radzieckiej, bo już w marcu 1941 roku, podczas swej wizyty w KL Auschwitz Heinrich Himmler rozkazał wybudować w Brzezince obóz dla jeńców wojennych jako tzw. Kriegsgefangenenlager. Pierwszy transport jeńców radzieckich przybył do Oświęcimia już w połowie lipca 1941 roku. Stanowiła go grupa złożona z kilkuset sowieckich funkcjonariuszy politycznych i komisarzy. Nie ujęto ich w ogóle w ewidencji obozowej. W ciągu kilku dni zostali wymordowani — albo przez SS-manów strzałami z pistoletów, albo przez kapo łopatami w czasie pracy⁷⁰. Jednak dopiero w listopadzie 1941 roku przybył z obozu jenieckiego w Łambinowicach (Lamsdorf) do Oświęcimia pierwszy, naprawdę ogromny (w porównaniu do poprzednich) transport jeńców rosyjskich, liczący około 12 tys. osób. Zgodnie z wolą Himmlera, mieli być oni wykorzystani do pracy przy budowie obozu w Brzezince. W momencie ich przybycia do KL Auschwitz byli już półmartwi. Całkowicie wygłodzeni i niezdolni do wykonywania jakichkolwiek, najprostszych nawet czynności. Z pewnością nie nadawali się do ciężkiej pracy fizycznej przy budowie nowego obozu. Mimo tego po przybyciu do Oświęcimia jeńcy ci nadal nie dostawali jedzenia, leków czy ciepłej odzieży. Zmuszono ich do wyczerpującej pracy przy burzeniu domów, opuszczonych przez wysiedloną z Brzezinki ludność. Wszystko to odbywało się wśród bicia i krzyków. W tej sytuacji nie dziwi zatem, że kiedy 1 marca 1942 roku przenoszono tych jeńców z Oświęcimia do Brzezinki, przy życiu pozostało ich tylko kilkuset (z około 12 tys. osób)⁷¹. Ponad 11 tys. Rosjan zostało uśmierconych w ciągu niecałych sześciu miesięcy. Tak ogromną liczbę jeńców sowieckich zgładzono, wykorzystując takie metody, jak: zagazowanie, zagłodzenie, ciężka praca, której towarzyszyło nieustanne bicie oraz doprowadzenie do wychłodzenia organizmu ze skutkiem śmiertelnym⁷². Wszystkie te sposoby uśmiercania wraz z ich zastosowaniem w praktyce opisał w swych zeznaniach liczni świadkowie procesu przeciwko Rudolfowi

⁶⁹ Ibidem, s. 11.

⁷⁰ F. Piper: *Metody bezpośredniego zabijania więźniów. W: Auschwitz nazistowski obóz śmierci*. Red. F. Piper, T. Świebocka. Oświęcim-Brzezinka 2004, s. 152.

⁷¹ J. Garliński: *Oświęcim walczący*. Londyn 1974, s. 88.

⁷² L. Rajewski: *Oświęcim w systemie RSHA*. Kraków 1946, s. 76.

Hössowi. O mordowaniu jeńców radzieckich podczas pracy Edward Wrona zeznał: „W roku 1941 przybyli pierwsi jeńcy wojenni. Podkreślam ten fakt, bo wtedy oskarżony Höss był przy tym — że jeńców wojennych mordowano w bezlitosny sposób [...]. Na moich oczach rozpruto rękojeścią łopaty brzuch jeńcowi wojennemu, tak że wnętrzności wyszły na wierzch. Byłem osobiście tego świadkiem, obserwując to z bloku nr 25 z parteru”⁷³. Inną metodę uśmiercania Rosjan opisał Zygmunt Wanicki. Zeznał on bowiem, że zgodnie z życzeniem komendanta polewano na wpół żywych jeńców zimną wodą i kazano im potem stać nago na kilkunastostopniowym mrozie. Skutki tego były oczywiście śmiertelne. „Höss powiedział [...], że należy połać ich wodą. Słowo Wasser wyraźnie słyszałem. Życzenie zostało spełnione w mig [...]. Rozebrano ich. Mróz już był, 10—15 stopni. Z trzęsących się z zimna zdejmowali ubranie, ubrania tego nie było zresztą wiele, marynarka, spodnie, bielizna, nic więcej [...]. Höss się uśmiechał przy tym i wolnym krokiem odszedł w głąb obozu rosyjskiego”⁷⁴. Znaczna część Rosjan przebywających w obozie została zagłodzona na śmierć. Pracujący w obozowej kuchni więzień Eugeniusz Cyba zeznał, że jeńcy rosyjscy byli tak wygłodzeni, że jedli nawet smar służący normalnie do smarowania wozów⁷⁵.

Pierwszy komendant obozu oświęcimskiego, zgodnie z tym, co zeznali świadkowie oskarżenia, był obserwatorem tych okropnych wydarzeń. Na własne oczy widział zabijanie Rosjan przy użyciu łopaty czy kilofa. Obserwował polewanie jeńców zimną wodą w czasie kilkunastostopniowego mrozu. Był świadkiem gazowania tych ludzi oraz morzenia ich głodem. Przyglądał się tym wszystkim okrucieństwom z obojętnością. Przełożeni nakazali mu zlikwidować jeńców radzieckich, więc przystąpił do realizacji tego zadania, nie zastanawiając się przy tym, czy postępuje właściwie. Wobec przebywających w obozie Rosjan pozostawał obojętny, nie czuł do nich ani sympatii, ani nienawiści. Jak sam twierdził, spełniał tylko rozkazy przełożonych, nie zastanawiając się nad ich sensem.

Podobną postawę przyjął Rudolf Höss w stosunku do Żydów. Osobiście nie czuł do nich nienawiści, ale nie przeszkadzało mu to w ich uśmiercaniu. Twierdził, że robił tylko to, co robić musiał. Nie zastanawiał się on nad swymi uczuciami wobec mordowanych Żydów, nie czuł litości ani nienawiści. Ich cierpienie było mu obojętne, mordował ich bez jakiegokolwiek osobistego zaangażowania. Jedyne, na czym naprawdę zależało komendantowi, to perfekcyjne wykonanie rozkazów. Doskonale ujął to Joachim Fest, stwierdzając:

⁷³ APMO, Proces Hössa, sygn. Dpr-Hd/26a, k. 7, Protokół z zeznania Edwarda Wrony z dnia 18 marca 1947 roku.

⁷⁴ APMO, Proces Hössa, sygn. Dpr-Hd/24b, k. 200, Protokół z zeznania Zygmunta Wanickiego z dnia 14 marca 1947 roku.

⁷⁵ APMO, Proces Hössa, sygn. Dpr-Hd/26b, k. 147—148, Protokół z zeznania Eugeniusza Cyby z dnia 19 marca 1947 roku.

„[...] klasyczny pod tym względem przedstawiciel abstrakcyjnej mentalności mordercy, mordującej metodycznie, niekiedy z pewnym osobistym niepokojem, ale zawsze z cierpliwą obojętnością. Na pytanie, czy był przekonany o winie mordowanych Żydów, oświadczył, że jest to pytanie nierealistyczne, albowiem »doprawdy nie marnował czasu na tego rodzaju myśli«. Obrazy ludzi umierających w męczarniach [...], nie prześladowały go. Cała sprawa sprowadzała się dlań wyłącznie do kwestii administracyjnych”⁷⁶.

Słowa te doskonale charakteryzują zachowanie się komendanta nie tylko wobec Żydów, ale również względem Polaków i Rosjan. Wobec więźniów wszystkich opisanych narodowości zachowywał się Höss podobnie. Wprawdzie, jak zeznają świadkowie, największą niechęć czuł do Polaków, ale nie przeszkadzało mu to podobnie traktować także Żydów i Rosjan. Więźniowie i ich los były mu obojętne, liczył się tylko rozkaz. Potrafił on ze spokojem przyglądać się gazowaniu Żydów, rozstrzeliwaniu Polaków czy głodzeniu jeńców radzieckich. W stosunku do nich zachowywał się Höss w sposób beznamiętny, bezuczuciowy i bardzo rzeczowy. „Stanowił on bardziej typ robota, aniżeli żywego człowieka”⁷⁷.

Sprawując w latach 1940—1943 funkcje lagerkommandanta KL Auschwitz, Höss miał wielu podwładnych. Nasuwa się więc pytanie, jakim był dla nich przełożonym? On sam bezwzględnie wykonywał rozkazy stojących wyżej od niego. Czy takiego samego posłuszeństwa wymagał on od swych podwładnych? Jakim typem zwierzchnika był Rudolf Höss: szefem pobłażliwym, który przez całe dni nie opuszczał swego gabinetu, czy też może nieustannie kontrolującym poczynania współpracowników? Odpowiedzi na te pytania mogą dostarczyć nam zeznania byłych więźniów, którzy niejednokrotnie widzieli, jak komendant zachowywał się wobec podległych mu SS-manów.

Jerzy Pozimski zeznał: „Na podstawie własnej obserwacji stwierdzam, że SS-mani z załogi oświęcimskiej byli w stosunku do Hössa zdyscyplinowani, on odnosił się do podległych mu oficerów SS w sposób służbowy i powiedziałbym nawet z pewną rezerwą”⁷⁸. Podobne wrażenie odniósł Jan Chlebowski: „Twierdzę niezbicie, że żadna czynność w obozie nie odbywała się bez wiedzy Hössa. Höss był postrachem dla SS-manów, albowiem jako były więzień z czasów Republiki Weimarskiej, z przekonań narodowy socjalista, cieszył się zaufaniem Pohla i Himmlera”⁷⁹. W związku z tymi zeznaniami możemy założyć, że nieprawdą jest to, co napisał oskarżony w autobiogra-

⁷⁶ J.C. Fest: *Oblicze...*, s. 469.

⁷⁷ J. Rawicz: *Dzień...*, s. 293.

⁷⁸ APMO, Proces Hössa, sygn. Dpr-Hd/4, k. 68, Protokół z zeznania Jerzego Pozimskiego z dnia 8 sierpnia 1946 roku.

⁷⁹ APMO, Proces Hössa, sygn. Dpr-Hd/17, k. 57, Protokół z zeznania Jana Chlebowskiego z dnia 23 października 1946 roku.

fii, jakoby nie wiedział, co robią jego podwładni. Höss próbował się tłumaczyć tym, że często przekręcano treść jego rozkazów, a on, zajęty rozbudową obozu, nie miał czasu w pełni wszystkiego dopilnować.

Nie tylko więźniowie, lecz także SS-mani zeznali w czasie procesu, że czuli respekt wobec swego przełożonego. Pełniący od 23 października 1941 roku służbę wartowniczą w Oświęcimiu Włodzimierz Bilan zeznał: „Rudolf Höss, Obersturmbannführer — komendant obozu, miał on wśród SS-manów opinię surowego i bezwzględnego. Osobiście jeździł po obozie i po kommandach pracy, obserwując przez lornetkę, co się dzieje. W wyniku dostrzeżenia najmniejszych usterek wymierzał surowe kary zarówno więźniom, jak i SS-manom”⁸⁰. Podobnie zeznał Karol Macura, który od 1942 roku pełnił służbę w IV kompanii SS w Oświęcimiu. Praca jego polegała na nadzorowaniu pracujących robotników. Na temat komendanta oświadczył on: „Höss jako komendant obozu miał do dyspozycji specjalne cicho jeżdżące auto, którym zbliżał się do miejsc pracy i z daleka ukryty za drzewem lub jakimś budynkiem obserwował przebieg pracy w komandzie. W przypadku, gdy dostrzegł, iż praca nie idzie w odpowiednio szybkim tempie, aresztował dozorców na miejscu SS-manów, kierując ich najczęściej do specjalnego lagru karnego dla SS-manów [...]. Höss był wyjątkowo surowy i bezwzględny zarówno dla SS-manów, jak i dla więźniów”⁸¹.

Na podstawie tych zeznań więźniów i SS-manów wywnioskować możemy, że podwładni bali się komendanta. Wiedzieli, iż przełożony wymaga od nich surowej dyscypliny. Dlatego jest mało prawdopodobne, aby specjalnie, jak twierdził oskarżony, „przekręcali” jego polecenia i rozkazy. Z drugiej strony niewystarczająco dobrze przykładali się oni do swojej pracy. Dla Hössa, który był perfekcjonistą, było nie do zaakceptowania to, że jego podwładni wykonywali swą pracę byle jak i bez odpowiedniej dbałości o szczegóły. W związku z tym uznał on, że jako ich zwierzchnik sam musi wszystkiego dopilnować, dawać dobry przykład i zachęcać wszystkich do pracy. Tylko wtedy możliwe byłoby urzeczywistnienie jego marzeń o KL Auschwitz, jako wzorowym obozie koncentracyjnym. „Jeśli chciałem sprostać memu zadaniu — wspominał — musiałem być jak motor, który nieustannie popędza do pracy przy budowie, który ciągle wszystkich pcha naprzód i porywa za sobą zarówno SS-mana, jak i więźnia. Musiałem walczyć [...] stale, codziennie, o każdej godzinie z obojętnością, niedbalstwem moich współpracowników, z niechęcią dotrzymywania mi kroku”⁸².

⁸⁰ APMO, Proces Hössa, sygn. Dpr-Hd/17a, k. 153, Protokół z zeznania Włodzimierza Bilana z dnia 11 listopada 1946 roku.

⁸¹ APMO, Proces Hössa, sygn. Dpr-Hd/17a, k. 160, Protokół z zeznania Karola Macury z dnia 14 listopada 1946 roku.

⁸² R. Höss: *Wspomnienia...*, s. 103.

Rudolf Höss był tym typem przełożonego, który sądził, że zawsze musi dawać dobry przykład podwładnym. Jak sam wspominał, nigdy nie spóźniał się rano do pracy ani też nie nadużywał alkoholu, aby nie działać demoralizująco na podległych mu SS-manów⁸³. Jednakże to „dawanie dobrego przykładu” nie ograniczało się tylko do tego typu zachowań. Na temat tego, w jaki sposób potrafił on motywować swych podwładnych do pracy, wypowiedział się Henryk Mandelbaum. Świadek ten przybył do obozu oświęcimskiego w maju 1944 roku, jako młody i silny mężczyzna został skierowany do pracy w tzw. Sonderkommando. Był to specjalny oddział zajmujący się gazowaniem i paleniem zwłok więźniów. W czasie przesłuchania przeciwko Rudolfowi Hössowi zeznał on: „O ile chodzi o osobę Rudolfa Hössa, to przyjeżdżał 1 — 2 razy na tydzień. Każdy jego pobyt świadczył, że przybędzie nowy transport więźniów. Był on zawsze uśmiechnięty, pogodny, nosił czapkę na lewą stronę, do pół ucha. Z całego jego zachowania wynikało, iż popędza swych podwładnych do szybszej pracy. Widziałem raz, iż przy ładowaniu trupów obsłudze niezbyt dobrze praca szła. Otóż Höss i Moll pokazowo demonstrowali, jak najlepiej się rzuca trupy”⁸⁴. Takie zachowanie było charakterystyczne dla komendanta. Nie wynikało ono z sadyzmu, lecz z chęci zmotywowania podwładnych do wydajniejszej pracy. Był on bowiem takim człowiekiem, który lubił dawać przykład „właściwego” postępowania innym.

Kolejną cechą charakteryzującą Hössa jako przełożonego była niedostępność. Nigdy nie pozwalał on sobie na koleżeńskie relacje z podwładnymi. Nie tylko w pracy, lecz także po służbie nie utrzymywał z innymi SS-manami bliższych kontaktów towarzyskich. Ton, którym się do nich zwracał, był zawsze bardzo zasadniczy i rozkazujący. Od dzieciństwa Rudolf Höss był typem samotnika, ale w obozie oświęcimskim koleżeństwo całkowicie przestało dla niego istnieć. Wspominał: „W Oświęcimiu zmieniłem się; widziałem jak moi tzw. „współpracownicy” oszukują mnie na każdym kroku, codziennie przeżywałem nowe rozczarowania [...]. Nabrałem wstrętu do wszelkich zebranych koleżeńskich. Wciąż odraczałem takie spotkania koleżeńskie i byłem zadowolony, gdy mogłem znaleźć jakiś odpowiedni powód, aby usprawiedliwić swą nieobecność”⁸⁵. Komendant nie miał najmniejszego zamiaru zaprzyjaźniać się ze swymi współpracownikami i podwładnymi. Pozostawał z nimi w relacjach wyłącznie służbowych. Doskonałym tego przykładem jest pewien epizod, przytoczony przez świadka Stanisława Dubiela. „Był wypadek, że była jakaś uroczystość, urodziny, cały korpus oficerski przyszedł złożyć życzenia. Musieli wystawać w mrozie na śniegu, zaszalutowali, uścis-

⁸³ Ibidem, s. 102.

⁸⁴ APMO, Proces Hössa, sygn. Dpr-Hd/4a, k. 147a, Protokół z zeznania Henryka Mandelbauma z dnia 26 września 1946 roku.

⁸⁵ R. Höss: *Wspomnienia...*, s. 101.

nał każdemu rękę, nawet na kawę czy wódkę nie poprosił i z miejsca poszli do służby”⁸⁶.

Z zeznań byłych więźniów KL Auschwitz, przytoczonych w niniejszym artykule, wyłania się obraz Hössa jako człowieka zawsze posłusznego przełożonym, surowego i bezwzględnego wobec podwładnych; obojętnego i nieczulego na los więźniów. Nienawidził Polaków i nerwowo reagował na ich widok. Pogardzał innymi, a zwłaszcza więźniami. Był typowym samotnikiem, niemającym przyjaciół; perfekcjonistą, którego rzekomo nikt nie potrafił zrozumieć. Z całkowitym zaangażowaniem poświęcał się swej pracy nad rozbudową obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, wszystkiego musiał osobiście dopilnować. Bez emocji potrafił przyglądać się rozstrzeliwaniu Polaków, głodzeniu Rosjan i gazowaniu Żydów. Spacerował często po obozie z ironicznym uśmiechem na twarzy, wszystkiego osobiście doglądając. Nic nie mogło ująć jego uwadze. W oczach przeciętnego więźnia KL Auschwitz Höss był niczym bóg — nieustannie wszystkich kontrolujący i nadzorujący. Świadczą o tym słowa Ludwika Rajewskiego, który zeznał: „Rudolf Höss na terenie Oświęcimia był bogiem, był człowiekiem, na którego zwyczajny Häftling nie mógł podnieść oczu, bo się bał [...]”⁸⁷. Taki wizerunek Rudolfa Hössa jako komendanta KL Auschwitz wyłania się z akt procesowych. Takim widzieli go zeznający w czasie procesu byli więźniowie obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu.

⁸⁶ APMO, Proces Hössa, sygn. Dpr-Hd/25a, k. 97, Protokół z zeznania Stanisława Dubiela z dnia 15 marca 1947 roku.

⁸⁷ APMO, Proces Hössa, sygn. Dpr-Hd/23a, k. 186, Protokół z zeznania Ludwika Rajewskiego z dnia 12 marca 1947 roku.

Sylwia Wysińska

Rudolf Höss in the eyes of prisoners (basing on the trial documents)

Summary

The article aims to present the image of the first commandant of Oświęcim-Brzezinka (Auschwitz) concentration camp (1940—1943). In the first part there is presented a short biography of Rudolf Höss, the goal of which is to acquaint the reader with basic facts from the biography of commandant of KL Auschwitz-Birkenau. The second, main part of the article constitutes the characteristics of his image. But, it was not presented basing on memoirs, diaries or other published sources, as it was practiced up until now. It was most of all based on the court testimonies of former Oświęcim concentration camp prisoners who testified in front of Supreme National Tribunal in Warsaw during trial against Rudolf Höss that took place on 11—29 March 1947. The fundamental source base of the present article are there-

fore documents form the Auschwitz-Birkenau State Museum in Oświęcim in the collection of documents.

Due to character of sources the author shows the defendant in slightly different light that he has been shown so far. She presents the attitude of the commandant not only to prisoners but also to SS-men subordinate to him. He renders his image seeing both from the perspective of SS-man and average prisoner of the German concentration camp in Oświęcim. Moreover, the author focuses her attention on the way he treated people of different nationalities: Poles, Russians and Jews.

Concurrently, the article characterizes personality and views of the defendant from his own standpoint, which were expressed in his diary *Wspomnienia Rudolfa Hössa komendanta obozu oświęcimskiego*. Thanks to this perspective the reader can compare two points of view. It helps to show the described issues in a multidimensional manner.

Sylwia Wysińska

Rudolf Höss in den Augen der Häftlinge (anhand der Prozessakten)

Zusammenfassung

Das Zweck des Artikels ist, das Porträt des ersten Kommandanten des Konzentrationslagers in Oświęcim-Brzezinka (dt.: Auschwitz-Birkenau) (1940—1943) darzustellen. Der erste Teil beinhaltet den kurzen Lebenslauf von Rudolf Höss, im Hauptteil wird die Person des KL-Kommandanten charakterisiert. Diese Charakteristik erfolgte aber nicht anhand der Erinnerungen, Memoiren oder anderen veröffentlichten Quellen. Die Verfasserin bediente sich zwar der von ehemaligen Häftlingen des Auschwitzer Lagers gemachten Aussagen. Die Häftlinge traten als Zeugen vor dem Obersten Nationalgerichtshof in Warschau während des sich dort vom 11. bis zum 29. März 1947 abspielenden und gegen Rudolf Höss eingeleiteten Prozesses auf. Die Grundlage des vorliegenden Artikels sind also Dokumente, die im Archiv des Staatsmuseums Auschwitz-Birkenau in Oświęcim in der Aktenabteilung: „Hösses Prozess“ aufbewahrt werden.

Spezifische Quellen verursachen, dass der Angeklagte von der Verfasserin anders als es bisher der Fall war dargestellt wird. Sie zeigt das Verhältnis des Kommandanten nicht nur den Häftlingen, sondern auch den ihm unterstellten SS-Männern gegenüber. Der Kommandant wird hier aus der Sicht sowohl eines SS-Manns, wie auch eines Durchschnittshäftlings des deutschen Konzentrationslagers in Auschwitz charakterisiert. Die Verfasserin hebt die Art und Weise hervor, auf welche die Menschen verschiedener Nationalitäten: Polen, Russen und Juden von Rudolf Höss behandelt wurden.

Von Persönlichkeitseigenschaften und von Ansichten des Angeklagten erfährt man aus dem von Höss geschriebenen Tagebuch *Lebenserinnerungen von Rudolf Höss, dem Kommandanten des Konzentrationslagers Auschwitz*. Dank der vielseitigen Sicht hat ein Leser die Möglichkeit, zwei verschiedene Gesichtspunkte miteinander zu vergleichen.

TEKSTY ŹRÓDŁOWE

URSZULA WENDA

Wydarzenia w Kopalni Węgla Kamiennego „Wujek” w Katowicach z dnia 16 grudnia 1981 roku w moich wspomnieniach

Wprowadzenie

Po wprowadzeniu stanu wojennego w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 roku, w poniedziałek 14 grudnia (w niektórych kopalniach już w niedzielę) w ponad 200 zakładach przemysłowych w całym kraju rozpoczęły się protesty i strajki. W ówczesnym województwie katowickim powołano komitety strajkowe i przystąpiono do strajków m.in. w kopalniach: „Andaluzja” (Piekary Śląskie), „Borynia” (Jastrzębie), „Brzeszcze”, „Halemba” (Ruda Śląska), „Komuna Paryska” (Jaworzno), „Manifest Lipcowy” (Jastrzębie), „Lenin” (Wesoła — Mysłowice), „Piaś” (Bieruń Nowy), „1 Maja” (Wodzisław Śląski), „Staszic” (Katowice), „XXX-lecia PRL” (Jastrzębie), „Wieczorek” (Katowice), „Wujek” (Katowice), „Ziemowit” (Łędziny); w tyskiej Fabryce Samochodów Małolitrażowych, Elektrowni „Łaziska”, „Montomecie” (Piekary Śląskie), w dąbrowskim „Budostalu 11”, pszczyńskim „Elwro”, w raciborskiej fabryce „Rafako”, tarnogórskim „Zamecie”, w niektórych zakładach w Będzinie, Bytomiu, Bolesławcu i Sosnowcu. Rozkazy, jakie nadeszły z Komendy Głównej MO do rejonowych jednostek MO, SB, ZOMO i ORMO, były jednoznaczne — spacyfikować zakłady i zdusić wszelkie formy protestu. Stosunkowo łatwo udało się stłumić protesty m.in. w Hucie „Baildon”, w kopalniach „Wieczorek”, „Helmba”, „Mysłowice”, „Komuna Paryska”, ale na przykład atak na Hutę „Katowice” zakończył się niepowodzeniem. W wielu zakładach użyto siły, m.in. w kopalniach „Lenin” i „Staszic”, gdzie ZOMO-wcy demolowali nawet hotele robotnicze w poszukiwa-

niu ukrywających się górników¹. W pacyfikacji kopalni „Manifest Lipcowy” w Jastrzębiu Zdroju użyto broni palnej, rannych zostało czterech górników.

Do najtragiczniejszych wydarzeń — jak wiadomo — doszło w KWK „Wujek” w Katowicach. Już 13 grudnia górnicy z nocnej zmiany przerwali pracę na wieść o internowaniu przewodniczącego zakładowej „Solidarności” Jana Ludwiczaka, jednak niedziela upłynęła spokojnie. W poniedziałek, 14 grudnia, pierwsza zmiana górników zdecydowała o przystąpieniu do strajku, domagając się zwolnienia wszystkich internowanych, zniesienia stanu wojennego i realizacji porozumień jastrzębskich. Wkrótce do strajku dołączyli pracownicy drugiej zmiany. Wieści o brutalnych pacyfikacjach przez oddziały ZOMO innych zakładów pracy zaogniły atmosferę. Górnicy postanowili się bronić. 15 grudnia zaczęto budować barykady. W środę, 16 grudnia, kiedy rozmowy strajkujących z przedstawicielami wojska i dyrekcji kopalni nie doprowadziły do porozumienia, najpierw, przy użyciu armatek wodnych i gazu łzawiącego, rozpędzono ludzi gromadzących się przed kopalnią, a o godz. 10.53 dowodzący akcją płk Wilczyński dał rozkaz do ataku na kopalnię. Zakład zaczęto ostrzeliwać środkami chemicznymi, petardami; górników polewano wodą z armatek, z helikoptera zrzucono na nich gaz łzawiący. Przez wyłomy w ogrodzeniu, zrobione przez czołgi, na teren kopalni wkroczyły oddziały ZOMO-wców. Na placu kopalnianym, przed kotłownią, rozgorzała walka. Autorka jednego z opracowań poświęconych pacyfikacji „Wujka” pisze: „W powietrzu latały kamienie, śruby, petardy, świece dymne, granaty łzawiące. Pękały górnicze kaski i zomowskie tarcze. Teren kopalni całkowicie pokrywały chmury gazów. Nad głowami warczał helikopter. Wyły silniki czołgów. W punkcie sanitarnym było już wielu górników zatrutych środkami chemicznymi i rannych od petard. Oddziały ZOMO posuwały się za czołgami, jednak skuteczna obrona górników zmuszała je do wycofywania się. Dowodzący akcją zdecydował o kolejnym natarciu. Czołg ruszył. W tym czasie członkowie Plutonu Specjalnego przeskoczyli przez płot na teren kopalni. W chwilę potem rozległy się strzały z broni automatycznej. Na placu przed kotłownią padli pierwsi ranni i zabici górnicy. O 12.31 płk Wilczyński pytał o zgodę na użycie broni. Domagali się tego dowódcy oddziałów. O 13.02. poinformował podwładnych: »Przerwać ogień«². O godz. 14.00 górnicy zdecydowali się na rozmowy z przedstawicielami dyrekcji kopalni i wojska. Wojskowym oddano zabraną milicjantom broń oraz wypuszczono zakładników, którzy

¹ Z. Szmidtke: *Relacja z pacyfikacji Domów Górnik KWK „Staszic” w Katowicach w dniu 14 grudnia 1981 roku*. „Górniki Polski” (Zeszyty Naukowe Muzeum Górnictwa w Zabrze) 2007, nr 1, s. 153—160.

² M. Szczęśniak: *Idź i zabij. Pacyfikacja strajku w Kopalni „Wujek”. Zbrodnia nieukarana*. Warszawa 1999, s. 16. Zob. także: J. Dziadul: *Rozstrzelana kopalnia. 13—16 grudnia 1981. Stan wojenny — tragedia „Wujka”*. Warszawa 1991 i in.

zostali zatrzymani przez górników w pierwszych godzinach walk. Po godz. 19.00 strajkujący opuścili teren kopalni.

Od kul milicjantów z plutonu specjalnego ZOMO zginęło 7 górników (Józef Czekalski — lat 48, Józef Giza — lat 24, Ryszard Gzik — lat 35, Bogusław Kopczak — lat 28, Andrzej Pełka — lat 20, Zbigniew Wilk — lat 30, Zenon Zajęc — lat 22), natomiast w styczniu 1982 roku w szpitalach zmarli dwaj kolejni ciężko ranni górnicy — Joachim Gnida (lat 28) i Jan Stawiński (lat 22). W wyniku pacyfikacji kopalni rany odniosło 49 górników, w tym 25 rany postrzałowe. Łącznie z 41 funkcjonariuszami „sił porządkowych” obrażenia, w tym ciężkie, odniosło 90 osób.

Pomoc wszystkim pobitym, rannym i poszkodowanym nieśli pracownicy służby zdrowia ze śląskich szpitali, przychodni i pogotowia ratunkowego — lekarze, pielęgniarki, salowe oraz inni pracownicy placówek medycznych, podejmując działania, za które w pierwszych dniach stanu wojennego groziły w najlepszym przypadku szykany ze strony władz, a w najgorszym — surowe kary. Dla przewidywanych rannych władze wyznaczyły na Śląsku dwa zmilitaryzowane szpitale — Szpital Górniczy w Ochojcu oraz Szpital MSW w Katowicach. Ówczesny pracownik Centralnego Szpitala Klinicznego w Katowicach-Ligocie prof. Grzegorz Opala wspominał: „Kiedy zorientowaliśmy się, że ranni nie są kierowani do naszego szpitala, adiunkt Kliniki Chirurgii Przewodu Pokarmowego dr Marek Rudnicki nadał przez radio na częstotliwości, którą posługiwało się pogotowie, oficjalnie brzmiący komunikat, aby od tego momentu wszystkich poszkodowanych kierować do Centralnego Szpitala Klinicznego do Ligoty. Kiedy podjechały pierwsze karetki byliśmy już przygotowani i zorganizowani. Wszyscy przydatni w takiej sytuacji byli w Izbie Przyjęć. Większość poszkodowanych była zaopatrywana i odsyłana do domu. Spieszyliśmy się, ponieważ spodziewaliśmy się, że w każdej chwili dotrą do szpitala oficerowie Służby Bezpieczeństwa celem identyfikacji strajkujących, a szczególnie kierujących strajkiem. Do szpitala przyjmowano wyłącznie tych, którzy bezwzględnie musieli być hospitalizowani. Zakładaliśmy im podwójną dokumentację, by nie stało się z nimi tak, jak z rannymi w grudniu 1970 roku na Wybrzeżu. Wiedzieliśmy od sanitariuszy i lekarzy, że ranni przywódcy strajku są wyciągani z karettek pogotowia do transportu własnego MSW, że dochodzi do użycia siły wobec kierowców karettek pogotowia, sanitariuszek i lekarzy. Kiedy okazało się, że rannych z postrzałami głowy zawieziono — zgodnie z poleceniem władz — do szpitala w Ochojcu, gdzie nie ma neurochirurgii, pojechali tam dr Jerzy Stasiak i ówczesny adiunkt Piotr Bażowski, by ich operować”³.

³ G. Opala: *List w rocznicę pacyfikacji „Wujka”*. „Pro Medico” 2007, nr 134, s. 15. Tekst ten zob. także: *Słownik medycyny i farmacji Górnego Śląska*. T. 6. Monograficzny. Śląski Uniwersytet Medyczny. W 60-lecie Śląskiej Akademii Medycznej. Pod red. W. Pierzchały. Katowice 2007, s. 185—186.

Niniejszym przytaczamy relację jednego z lekarzy, który niósł dobrowolnie pomoc rannym górnikom z kopalni „Wujek” — dr Urszuli Wendy. Jest to materiał o tyle cenny, że dr Wenda znalazła się z własnej woli w samym centrum wydarzeń, była ich naocznym świadkiem. Niewątpliwie były to dla niej tak traumatyczne przeżycia, że nawet po upływie wielu lat od tamtych tragicznych godzin, trudno jej mówić o nich bez emocji. W trakcie rozmowy dr Wendzie niejednokrotnie załamywał się głos ze wzruszenia i łzy napływały do oczu.

Urszula Wenda urodziła się w Katowicach w styczniu 1930 roku w rodzinie zawodowego wojskowego. Jej ojciec był starszym sierżantem 73. Pułku Piechoty. Jako członek Armii Krajowej dowodził oddziałem na terenie Katowic. Został aresztowany przez Niemców 21 marca 1944 roku, wywieziony do Oświęcimia i tam rozstrzelany 1 listopada 1944 roku. Jedyńca była wychowywana tylko przez matkę. W 1956 roku Urszula Wenda ukończyła Śląską Akademię Medyczną w Rokitnicy i od tego czasu pracowała zawodowo jako lekarz pierwszego kontaktu. Jej mąż, również lekarz, wcześniej zmarł, więc konieczność samodzielnego utrzymania rodziny — matki i dwóch córek, urodzonych w 1954 i 1956 roku — zmusiła ją do rezygnacji z większych ambicji zawodowych, m.in. zdawania egzaminów na stopnie specjalizacji. Pracowała w różnych miejscach: staż odbywała na oddziale neurologicznym w klinice w Katowicach-Ligocie, później pracowała w przychodni ogólnej w Katowicach-Ligocie, w pogotowiu ratunkowym i była lekarzem zakładowym w kopalniach „Wujek”, „Siemianowice” i „Katowice”. Pracę wykonywała w nich zamiennie przez 13 lat. W filmie Kazimierza Kutza *Śmierć jak kromka chleba* w jej rolę wcieliła się aktorka Teresa Budzisz-Krzyżanowska, która, jak mówi dr Wenda, „zagrała bardzo dobrze, wiernie mnie oddała, jako tamtą osobę”. Mówi o filmie (była na planie w czasie jego kręcenia i rozmawiała zarówno z Teresą Budzisz-Krzyżanowską, jak i z Kazimierzem Kutzem), że, „niestety, nie oddaje tego, co się tam działo. Wydarzenia tamtego dnia były o wiele bardziej dramatyczne. W filmie też jest wiele nieścisłości, np. my w punkcie opatrunkowym nie przetaczaliśmy krwi” i „nie było tyle krwi, że myśmy się po tej krwi ślizgali”, ale przyjmuje do wiadomości wyjaśnienia reżysera, że film nie jest dokumentem, lecz filmem fabularnym.

Za mobilizację służb medycznych i niesienie pomocy wszystkim rannym i poszkodowanym podczas pacyfikacji kopalni „Wujek” w Katowicach Urszula Wenda otrzymała w 2005 roku medal *Pro Publico Bono*, a w lutym 2007 roku została odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Dorota Matlak

Relacja dr Urszuli Wendy⁴

W dniu 16 grudnia 1981 roku byłam w pracy w przychodni w Ligocie. W tym czasie byłam zatrudniona również w pogotowiu, ale tego dnia akurat nie pełniłam tam dyżuru, wiedziałam również, że nikogo w pogotowiu nie ma. W pogotowiu miałam dyżur dzień wcześniej, jeździliśmy tam, koło kopalni, bo to był nasz rejon, tam mieszkali nasi podopieczni. Byłam dokładnie zorientowana w sytuacji. Wiedziałam, że w kopalni ma miejsce strajk, że znajduje się tam mnóstwo ludzi. Przeczuwałam coś złego, można powiedzieć, że spodziewałam się tego, co się tam później stało, ale nie spodziewałam się, że będą strzały.

W naszej przychodni słychać było strzały od strony „Wujka”, bo nie jest ona zbyt bardzo oddalona od tego miejsca, poza tym krążył helikopter, jeździły karetki, ale nie nasze, tylko milicyjne, więc wiedzieliśmy, że dzieje się tam coś niedobrego. Wiedząc, że w pogotowiu nie ma lekarza, zwerbowałam sanitariuszkę, która u nas pracowała (kiedyś pracowała w pogotowiu, a w tym czasie pracowała jako pomoc laboratoryjna w Ligocie), pobiegłyśmy do pogotowia i tam zażądały karetki. Dyspozytor odmówił, ponieważ było odgórne zarządzenie, że karetki można wysłać tylko na telefoniczne wezwanie, niestety, telefony już wtedy nie działały. Połączyłam się ze Stacją Pogotowia Ratunkowego za pomocą krótkofalówki, oznajmiając, że na własną rękę biorę karetkę i jadę pod kopalnię „Wujek”. Wyrażono zgodę, ale ja i tak bym tam pojechała...

Pojechaliśmy pod kopalnię, lecz nie pozwalałam kierowcy włączyć sygnału. Jechaliśmy bez alarmu, dzięki czemu naszymi nie różniliśmy się od karetek milicyjnych. Prześliznęliśmy się obok całego kordonu ZOMO i zdołaliśmy podjechać pod sam budynek dyrekcji kopalni praktycznie niezauważeni. Wjechałam na teren kopalni około godziny 10.00—10.30. Najpierw ewakuowałam rannych i poturbowanych z budynku dyrekcji. Wezwałam przez krótkofalówkę pomoc [karetki z Wojewódzkiego Pogotowia Ratunkowego w Katowicach — D.M.], moją karetką zaś odwoziłam rannych do szpitali. Wiedziałam, że szpitale są przygotowane na przyjęcia. Dopiero, jak wszystkich powywoziliśmy z budynku dyrekcji, weszłam — normalnie w fartuchu i kurtce — na teren kopalni i, niestety, tam już były trupy. Wszyscy leżeli pokotem w Izbie Chorych. Byli tam też inni lekarze (spoza kopalni), bo w tym czasie lekarze z ambulatorium kopalnianego przeszli na teren kopalni i oni już udzielali pomocy na terenie samej kopalni. Na podłodze leżeli ranni obok nieżyjących. Najpierw ewakuowano wszystkich poszkodowanych. Rannym górnikom lekarze nie powiedzieli, że są już zabici. Najpierw ewakuowano

⁴ Relację spisała Dorota Matlak.

wszystkich poszkodowanych, a dopiero później przeniesiono ciała zabitych do zrobionej na szybko prowizorycznej kostnicy. W kuźni ukuli krzyż⁵ i tam te ciała zostały położone...

Wracając do przejazdu karetek z Wojewódzkiego Pogotowia Ratunkowego, to zapomniałam powiedzieć kierowcom, żeby nie włączali sygnału. Oni podjechali pod kopalnię na sygnałach i byli zatrzymywani przez ZOMO pod bramą zakładu. Wówczas poszłam z sanitariuszem kopalnianym do sztabu wojskowego, który mieścił się w gabinecie dyrektora kopalni „Wujek”, i tam doszło do ostrej wymiany zdań. Chodziło o zatrzymywane karetki i zakaz udzielania pomocy. Wtedy któryś z nich wyraził się o górnikach: „To są mordercy!”. Na co mu odpowiedziałam: „To wy jesteście Polakami? Jesteście gorsi od gestapo, bo gestapowcy, jak mi ojca aresztowali, to pozwolili nam się z nim pożegnać. Wy teraz to możecie mnie co najwyżej zamknąć!”. Bardzo porządnie natomiast zachował się dyrektor kopalni. Pomimo że oni jakoś tak ostro występowali przeciwko wpuszczaniu dodatkowych karetek na teren kopalni, dyrektor połączył się z Jaworznicko-Mikołowskim Zjednoczeniem Górniczym i poprosił o dostanie nowych karetek, ale gdy one przyjechały, cała akcja na terenie kopalni już się zakończyła.

Na udzielanie pomocy poszkodowanym górnikom był przygotowany szpital górniczy w Ochojcu i klinika w Ligocie⁶. Ja nawet wiozłam pacjenta do Ochojca z raną postrzałową w okolicy krtani, żuchwy i nawet nie wiem, co się z nim stało, ale przypuszczam, że wyzdrowiał, bo na liście zabitych nie ma jego nazwiska. Był przytomny, nic nie mówił. Leżał w Domu Kultury kopalni „Wujek”. Skąd się tam wziął — też nie wiem. Raz zostałam zatrzymana, ZOMO-wcy sprawdzali wnętrza karetki, jeden z nich bardzo brzydko się odezwał, zawołał będącego z nimi lekarza wojskowego i kazał mu sprawdzić, czy przewożony poszkodowany wymaga hospitalizacji, czy nie. Lekarz wojskowy bardzo ładnie się zachował, zapytał mnie: „Kogo pani doktor wiezie?”. Obie z sanitariuszką nie powiedziałyśmy, że to jest postrzelony górnik, tylko że wieziemy człowieka z podejrzeniem zawału. Inne karetki, które wywoziły postrzelonych i rannych były zatrzymywane i chorym odbierano dowody osobiste i znaczki. Następnym górnikom, których my woziliśmy w karetkach, ktoś z naszych odbierał znaczki i dowody osobiste i ci górnicy jechali już anonimowo. Były przypadki, że ZOMO-wcy wyciągali z karetek poszkodowanych i bili ich. Zdarzało się również, że pobici byli sanitariusze. Potem oni leżeli w szpitalach. Nawet niektórzy lekarze udzielający pomocy poszkodowanym, którzy mieli pecha natknąć się na zwyrodnialców, spotykali się z obelgami.

⁵ Krzyż ten, po zabraniu ciał zabitych z prowizorycznej kostnicy w stacji ratownictwa, postawiono przy ścianie kotłowni, w miejscu gdzie zginęli górnicy.

⁶ Dr Wenda mogła nie wiedzieć, że klinika w Ligocie nie była przez władze wyznaczona do przyjmowania rannych.

W punkcie zastrzykowym na kopalni byli również pacjenci z zawałem serca i stanem przedzawałowym, którym przetaczaliśmy kroplówki (nie krew, jak było pokazane na filmie) i trzeba było chorych z tą kroplówką wynosić. Wtedy ja poszłam tam, gdzie teraz jest pomnik (wtedy był tam rozbity mur), wprost do tych ZOMO-wców. Poszłam tylko w samym fartuchu, za mną szedł sanitariusz kopalniany i pielęgniarka. Szli ze mną do momentu, gdzie kończył się barak, potem oni zostali, a ja dalej szłam sama. Bałam się. Mówiłam, że jestem lekarzem i chcę rozmawiać z kimś, kto tą grupą dowodzi i podszedł do mnie oficer, nie wiem, w jakim stopniu, i wtedy ja powiedziałam, że jestem lekarzem, mamy rannych wymagających natychmiastowej hospitalizacji i przewozu do szpitala i potrzebujemy natychmiast karetką wjechać na teren kopalni. Zapytałam, czy nam pozwolą? Więc on odpowiedział, że owszem — proszę wjeżdżać. Wtedy powiedziałam, żeby tego nie wykorzystali i za naszą karetką nie wtargnęli na teren „kopalni. On mnie zapewnił: „Daję słowo, że nie!”. Przeszłam z tą wiadomością do punktu, a górnicy na to: „My tym ch... nie wierzymy, sami będziemy wynosić rannych”. I od tego momentu zaczęli sami wynosić poszkodowanych z punktu opatrunkowego do karetek, a karetki podjeżdżały tylko pod kopalnię, a na teren zakładu nie wjeżdżały.

Górnicy, którzy byli lżej ranni, przychodzili sami do punktu opatrunkowego. Często przeklinali, byli też i tacy wśród rannych, którzy płakali, ale nikt nie żałował, że został na terenie kopalni. Najgorsze było... rodziny pod murem, pod siatką. Jak już się rozeszła wiadomość, że są zabici (początkowo nie podawano tej informacji)... no to coś strasznego. Każdy krzyczał: „A mój, a mój, a jak tam mój?!”. Matki, żony, dzieci...

Raz, kiedy z punktu opatrunkowego wywoziłam karetką młodego chłopaka, ktoś z tłumu krzyknął: „To jest ORMO-wiec, na latarnię z nim!”. „Ja nie jestem żadnym ORMO-wcem!”, krzyczał ten młody człowiek. Mówię do niego: „Chłopie, wsiadaj do karetki!”, gdyż o lincz było wtedy bardzo łatwo. On wbił się pod nasze nosze tak, że myśmy nie mogli go stamtąd wytargać. Wywoziliśmy go wtedy razem z innym rannym górnikiem, który był w karetkce. Do dziś nie wiem, czy to był oprawca, czy nie? Wtedy uważałam, że tak należało postąpić.

Innym razem, kiedy weszłam na moment do baraku, gdzie byli przetrzymywani zatrzymani przez milicjantów górnicy, byłam świadkiem, jak jeden z nich podszedł do ZOMO-wców z bronią, ukląkł przed nimi i prosił ich o darowanie winy, mówił, że ma żonę i dzieci. Inny chyba nawet płakał. To był moment, ale tak było, ja to słyszałam.

Nigdy nie zastanawiałam się nad tym, kto wydał rozkaz strzelania. Ktoś musiał tę dyspozycję wydać. Jeżeli (milicjanci) dostali już ostre naboje, to chyba było z góry przewidziane, że należy ich użyć. Nie wierzę, że ktoś samowolnie używałby broni palnej. Nie myślałam wtedy, że mogę zginąć.

Nie docierało do mnie, że mogą mnie przecież zamknąć, a tym bardziej — do mnie strzelać. Jakoś uważałam, że ten problem mnie nie dotyczy, mimo że nie przestrzegano konwencji Czerwonego Krzyża.

Po zakończeniu pacyfikacji kopalni byłam raz wezwana na ulicę Dworską w Katowicach, do prokuratury wojskowej, gdzie mnie przesłuchiowano. Zakazano mi opuszczać teren zamieszkania — miałam pozostawać w Katowicach. Więcej mnie nie wzywano i żadnych konsekwencji wobec mnie nie wyciągano. Nie nachodzono mnie w domu — może mnie obserwowano, ale tego oficjalnie nie wiem.

Patrząc z perspektywy lat, jakie upłynęły od tych tragicznych wydarzeń, uważam, że wszystko, co się wtedy stało złego na kopalni — ranni, pobici, okaleczeni fizycznie i psychicznie — to wszystko było niepotrzebne. Władza mogła w inny, mniej drastyczny sposób rozwiązać ten problem.

Urszula Wenda

My own recollections of the events of 16th December 1981 in the “Wujek” coal mine

Summary

Urszula Wenda was in the group of doctors that voluntarily, lead by their sense of responsibility for delivering care, regardless of the consequences, witnessed the events of 16th December 1981 in the “Wujek” coal mine, when the miners’ strike was brutally crushed.

Her account of the events is one of the rare and moving recollections of doctors who in the first days of Martial Law were the eye-witnesses of the clashes between the workers and the ZOMO (Pol. Motorized Reserves of the Citizens’ Militia) units, the brutality of the militia, deaths of the miners, but also sacrifice of the doctors, nurses, paramedics, delivering care to wounded participants of the strikes. Urszula Wenda not only helped the injured, but also organized and mobilized the medical staff and demanded from the officers leading the pacification treating the wounded and injured in the humanitarian way.

Urszula Wenda

Die Ereignisse in dem Kohlebergwerk „Wujek“ vom 16. Dezember 1981 in meinen Erinnerungen

Zusammenfassung

Urszula Wenda gehörte den Ärzten, welche aus freien Stücken, sich von dem Pflichtgefühl, den Geschädigten Hilfe zu leisten, leiten lassend, auf mögliche Folgen nicht achtend

sich am 16. Dezember 1981 auf dem Gebiet des Kohlebergwerks „Wujek“ befanden, als dort der Bergarbeiterstreik sehr brutal und mit Feuerwaffe niedergeschlagen wurde.

Ihr Bericht ist eine der wenigen und ergreifendsten Erinnerungen von den Ärzten, die sich an den ersten Tagen des Kriegszustandes in Polen im Mittelpunkt der Ereignisse befanden und Augenzeugen von den Zusammenstößen der Arbeiter mit bewaffneten ZOMO-Truppen, von der Brutalität der Miliz, aber auch von der Opferbereitschaft der Ärzte, der Krankenschwester und der Sanitäter waren. Urszula Wenda leistete medizinische Hilfe den geschädigten Bergarbeitern; sie veranstaltete auch eine soziale Hilfe, mobilisierte den Sanitätsdienst und forderte von den die Niederschlagung führenden Offizieren eine humanitäre Behandlung von verletzten und zusammengeschlagenen Arbeitern.

RECENZJE

Z dziejów Zagórze.
Red. D. Rozmus, S. Witkowski.
Sosnowiec 2008*

Opracowanie Arkadiusza Rybaka stanowi popularnonaukowe ujęcie początkowych dziejów szkolnictwa elementarnego w Zagórze, dzisiejszej dzielnicy Sosnowca. Autor przedstawił okoliczności powstania tej placówki, określił jej siedzibę, podał nazwiska nauczycieli oraz liczbę uczniów do niej uczęszczających, wspominając przy tym najbardziej znanego absolwenta — ks. Grzegorza Augustynika. Zwrócił też uwagę na charakterystyczne elementy realizowanego w badanym okresie procesu nauczania oraz na ogólne założenia rozwoju szkolnictwa elementarnego na ziemiach polskich.

Prezentując poszczególne zagadnienia oparł się na niektórych źródłach zgromadzonych głównie w Archiwum Państwowym w Łodzi oraz tylko na 4 opracowaniach (z czego trzy dotyczą dziejów szkolnictwa), z których dwa zostały wydane przed 1961 rokiem. Szkoda, że autor nie wykorzystał innych prac dotyczących dziejów oświaty, np. Andrzeja Winiarza (*Szkolnictwo Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego, Geneza i organizacja dozorów szkolnych w Księstwie Warszawskim*) czy Dariusza Łukaszewicza (*Szkolnictwo w Prusach Wschodnich w okresie reform oświeceniowych*), a także opracowań m.in. Ryszarda Geberta i Wita Górczyńskiego. Dotarcie do tych publikacji pozwoliłoby autorowi zrozumieć, że przywołane w jego opracowaniu towarzystwa szkolne funkcjonujące na badanym terenie miały pruski rodowód. Właśnie na tych towarzystwach władze Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego oparły organizację szkolnictwa elementarnego. Autor

* Do recenzji wybrano tylko dwie rozprawy zamieszczone w niniejszej publikacji: Arkadiusza Rybaka *Szkola elementarna w Zagórze i jej rozwój w latach 1816—1868* oraz Anny Makarskiej *Zagórze — od gminy do dzielnicy miasta*.

nie sięgnął też do opracowania ks. Mariusza Trąby (*Koronacja figury Matki Bożej Anielskiej w Dąbrowie Górniczej 19 maja 1968 roku*), w którym znalazłby wiele ciekawych informacji o ks. Grzegorzu Augustyniku.

Niezależnie od tych braków artykuł Arkadiusza Rybaka w pewnym stopniu rozszerza zakres wiedzy na temat zagłębiowskiego szkolnictwa elementarnego.

Tego nie można powiedzieć o opracowaniu Anny Makarskiej. Pierwsze zastrzeżenie budzi sformułowanie jego tytułu (*Zagórze — od gminy do dzielnicy miasta*). Jest on nieadekwatny do zawartości tekstu. Podjęte w rozprawie trzy problemy nie łączą się z sobą, ponieważ autorka nie sprecyzowała zakresu merytorycznego ani chronologicznego swych rozważań, a fakty i wydarzenia przedstawiła w nieuporządkowany sposób.

W części pierwszej Anna Makarska nie zamieściła XVIII—XIX-wiecznego zarysu dziejów tej miejscowości. Użyła tylko ogólnego, niemającego żadnego znaczenia stwierdzenia: „[...] na przestrzeni lat zmieniała się przynależność Zagórze”. Podana data powstania powiatu będzińskiego, tj. rok 1866, dotyczy wydania ukazu carskiego z 19/31 grudnia 1866 roku w tej sprawie (*O zarządzie gubernialnym i powiatowym*). Faktycznie gubernię piotrkowską i powiaty do niej wchodzące powołano 1/13 stycznia 1867 roku. W tekście znajdują się też inne niewłaściwe określenia czasu, np.: „po drugiej wojnie światowej w 1954 roku Zagórze uzyskało status osiedla” (s. 78) „po II wojnie światowej w 1957 roku [...] odbyło się uroczyste nadanie szkole imienia” (s. 85). Przecież II wojna światowa skończyła się w Europie w maju 1945 roku! Tego typu potknięć autorki można znaleźć w tekście znacznie więcej.

Z podanych w artykule informacji o dziejach szkolnictwa w Zagórze nie sposób zrozumieć, na czym polegały konkretne zmiany wprowadzane do poszczególnych szkół, ani sprecyzować kiedy i w jakich okolicznościach powstały dane placówki (zwłaszcza szkoła nr 1 i 2). Z tekstu można natomiast dowiedzieć się, jakie osoby pełniły w nich funkcje kierownicze czy dyrektorskie, gdzie szkoły miały swe siedziby i kiedy powstały szkoły oznaczone numerami: 3, 38, 39, 40, 43, 46 i placówki średnie typu ogólnokształcącego i zawodowego.

Autorka przeskakuje z jednego tematu do drugiego, nie ukończywszy rozważań wcześniej podjętych. Przykładowo, na s. 84 podaje informacje o liczbie uczniów, po czym wspomina o nauczycielach, a po nich ponownie wraca do kwestii uczęszczania dzieci do szkoły.

W zestawionym przez Annę Makarską wyborze źródeł zabrakło materiałów archiwalnych z Archiwum Państwowego w Łodzi, z zespołu: Dyrekcja Szkolna Łódzka, a w wykazie literatury — niezwykle ważnej i cennej pozycji, z której winien skorzystać każdy badający dzieje szkolnictwa międzywojennego, tj. pracy: *Szkoły Rzeczypospolitej Polskiej w roku szkolnym 1930/1931* (zebrał i zestawił M. Falski. Warszawa 1931).

Sposób prezentacji wyrywkowych danych charakteryzujący się brakiem ich logicznego oraz chronologiczno-problemowego ujęcia, a także błędy merytoryczne i nic nieznaczące sformułowania ogólnikowe powodują, że artykuł Anny Makarskiej nie należy do opracowań dotyczących dziejów Zagórza. Można go zaliczyć do grupy popularnonaukowych przyczynków, który ewentualnie można by wykorzystać w edukacji szkolnej na szczeblu podstawowym i gimnazjalnym.

Mając na uwadze wskazane uwagi, warto zapytać, czy w pracy napisanej „pod redakcją naukową Dariusza Rozmusa i Sławomira Witkowskiego”, pretendującej do roli „monografii historycznej” (to słowa Jacka Kazimierczaka, s. 7) powinien znaleźć się taki tekst?

Anna Glimos-Nadgórska

***Regionalizm w szkolnej edukacji.
Pogranicze śląsko-małopolskie
(Górny Śląsk, Zagłębie Dąbrowskie, ziemia olkuska).***
Red. D. Rozmus, S. Witkowski.
Sosnowiec 2008*

Opracowanie poruszające problem szkolnej edukacji regionalnej jest pokłosiem konferencji, jaką w grudniu 2007 roku zorganizowano w Liceum Ogólnokształcącym im. Stanisława Staszica w Sosnowcu. Składa się ono z trzech różnych części. W pierwszej zgrupowano teksty dotyczące *Metodyki nauczania historii regionalnej*, w drugiej znalazły się rozważania łączące się z tematem: *Z dziejów Zagłębia Dąbrowskiego, ziemi olkuskiej i Górnego Śląska*, a w trzeciej — recenzje dwóch prac.

Przeglądając zawartość *Regionalizmu w szkolnej edukacji...*, rodzi się wątpliwość co do zasadności tak sformułowanego jej podtytułu. Użyte w nim bowiem nazwy: Górny Śląsk i Zagłębie Dąbrowskie, swoim rodowodem sięgają XIX wieku, w przeciwieństwie do określenia ziemia olkuska. Czytelnik może zastanawiać się, jakie tereny opisywane w pracy dotyczą Górnego Śląska? Czy określenie to należy odnieść także do XVII-wiecznego Bytomia i do ziem, na których znajdował się obóz Auschwitz z czasów II wojny światowej? Uważam również, że druga część książki — niezależnie od niektórych jej niedoskonałości — powinna stanowić podbudowę teoretyczną rozważań dotyczących nauczania historii regionalnej. Winna zatem otwierać całą recenzowaną pracę, problemy dydaktyczne powinny natomiast być zaprezentowane dopiero w dalszej kolejności. Z kolei umieszczone w części drugiej rozważania Magdaleny Cyankiewicz: *O walizce pełnej fotografii odnalezionej*

* Recenzja dotyczy wybranych rozpraw zamieszczonych w niniejszej publikacji.

w *Auschwitz i zachowanym pamiętniku nastolatki. Mikrohistoria Holocaustu zagłębiowskich Żydów i jej najnowsze karty*, powinny znaleźć się wśród artykułów dydaktycznych. Autorka podejmuje w nich bowiem problem nauczania o Holocaustie, a więc zagadnienie nieobce dydaktyce historii, z czego sama doskonale zdaje sobie sprawę, cytując w przypisach wiele tego rodzaju opracowań i artykułów dotyczących tego tematu.

Zamieszczone w części trzeciej recenzje dotyczą prac o różnym charakterze, podejmujących problemy odmienne pod względem tematycznym i wiążących się z zupełnie innymi terytoriami. Sławomir Witkowski — ich recenzent — zapewne „przeoczył”, że oceniane przez niego opracowanie Bolesława Ciepeli należy do wydawnictw popularnonaukowych, a więc wymaga innej oceny. Z kolei cieszyńskie wydawnictwo źródłowe ma charakter naukowy i jego, jako wydawnictwa źródłowego dotyczącego XVI-wiecznych dziejów szlachty Śląska Cieszyńskiego, nie należy łączyć terytorialnie z Górnym Śląskiem.

Część pierwszą podjętych rozważań nazwano *Metodyka nauczania historii regionalnej*. W tytule tym zamieszczono termin „metodyka”. Tymczasem takiego określenia polska dydaktyka historii zaprzestała używać już na początku lat 90. XX wieku (o czym we wstępie do uniwersyteckiego podręcznika z *Dydaktyki historii* z 1989 roku napisał wyraźnie Jerzy Maternicki). Czyżby redaktorzy naukowci temu — Dariusz Rozmus i Sławomir Witkowski — nadal hołdowali starym założeniom PRL-u, wytyczającym tylko „określone normy postępowania w procesie przekazywania uczniom wiedzy historycznej” (J. Maternicki, C. Majorek, A. Suchoński: *Dydaktyka historii*. Warszawa 1993, s. 5)? A może „zapomnieli”, że po 1989 roku zmiany wprowadzano do różnych dyscyplin naukowych, nie tylko do historii, i że obecnie nie używa się już nazw narzuconych polskiej nauce w połowie XX wieku przez pedagogikę radziecką?

Informacje zamieszczone w części pierwszej dotyczą kilku zagadnień. Przedstawiono je w formie artykułów i komunikatów. Te ostatnie, autorstwa Barbary Rudy i Sławomiry Dziewięckiej (nauczycielek obecnych szkół ponadgimnazjalnych z długim stażem pedagogicznym, absolwentek studiów historycznych Uniwersytetu Śląskiego), we właściwy sposób informują czytelnika o niektórych problemach podejmowanych w ramach edukacji regionalnej czy projektów realizowanych w nauczaniu historii przez Młodzieżową Akademię Krzewienia Edukacji na czwartym etapie edukacyjnym.

Rozważania dydaktyczne tej części otwiera praca Moniki Bednarskiej-Bajer zatytułowana *Problematyka regionalna w edukacji humanistycznej*. Nie spełnia ona kryteriów teoretycznej rozprawy — a taką być powinna — wprowadzającej czytelnika w określoną tematykę. Autorka opisała w niej tylko cele i zadania kształcenia regionalnego, standardy osiągnięć uczniów kończących naukę oraz formy realizacji edukacji regionalnej, a zatem nie roz-

szerzyła zakresu wiedzy nauczycieli — czytelników publikacji — na zaszyfrowany w tytule problem. Nie podała przy tym żadnego źródła swych informacji. Z kolei w przypisie 1 na s. 13, wprowadzonym przez redaktora Witkowskiego, zamieszczono kilkadziesiąt opracowań poświęconych „zagadnieniom regionalizmu we współczesnej szkole”. Zastanawia, czym kierował się redaktor, wybierając poszczególne pozycje, skoro w wykazie tym umieścił opracowania wydane zarówno przez wydawnictwa typowo regionalne, jak i ogólnopolskie; prace zwarte opublikowane w latach 60. XX wieku oraz wydane w XXI wieku, artykuły ogólnopedagogiczne, jak i dotyczące metodologii historii. O nieznamości przez redaktora tego problemu, a zatem i literatury dokumentującej edukację regionalną, może również świadczyć fakt, że z pracy zbiorowej *Region w edukacji historycznej. Nauka — doradztwo — praktyka* (Toruń 2005), wydanej m.in. przez Stowarzyszenie Oświatowców Polskich w Toruniu, zacytował on mniej znaczące artykuły, a nie zwrócił uwagi na opracowanie (zamieszczone na s. 94—101) dotyczące kwestii podejmowanej przez autorów, tj. dziedzictwa i tradycji Zagłębia Dąbrowskiego w nauczaniu historii.

W krótkich rozważaniach Marty i Dariusza Rozmusów pt. *Jak w praktyce edukacyjnej zastosować archeologię?* autorzy wiele miejsca poświęcili kwestiom teoretycznym dotyczącym nauki archeologii. Główny temat zagadnienia, czyli problem uwzględnienia w nauczaniu historii wyników badań archeologicznych, ograniczyli do niezwykle krótkiego (bo zawartego zaledwie w kilkunastu wierszach) tekstu oraz trzech aspektów tych badań: edukacyjnego, estetycznego i wychowawczego. Podnieśli też problem lekcji muzealnych, warsztatów, ekspozycji stałych i czasowych oraz zadań pełnionych w tym zakresie przez dwa zagłębiowskie muzea. Czytelnik nie znajdzie więc w ich pracy odpowiedzi na pytanie postawione w tytule (można zastanawiać się, czy zostało ono prawidłowo zbudowane), bo jego autorzy skoncentrowali uwagę na problemach teoretycznych, nie pokazując, w jaki sposób przez dobrze zorganizowane formy działalności, czyli przez ekspozycje, warsztaty czy lekcje muzealne, należy przekazywać dzieciom i młodzieży wiadomości o najstarszych dziejach określonego regionu. Autorzy artykułu swe wywody uzupełnili kilkoma przypisami, ale zamieścili w nich głównie prace regionalne, także o charakterze popularnonaukowym. Nie podali natomiast naukowej literatury dotyczącej wyników badań archeologicznych prowadzonych w tym rejonie.

Bardzo ciekawy temat (*Problematyka regionalna na lekcjach muzealnych*) starał się zaprezentować Jarosław Krajniewski. Nie sprostał jednak temu zadaniu. Swe wywody skoncentrował wokół dwóch problemów: teoretycznych rozważań na podjęty temat i przedstawieniu ofert lekcji muzealnych proponowanych przez muzea Zagłębia Dąbrowskiego. Tę drugą kwestię zaprezentował tylko przez wymienienie wachlarza propozycji wysunię-

tych przez poszczególne działy zagłębiowskich placówek muzealnych, tj.: Muzeum Zagłębia w Będzinie, Muzeum w Sosnowcu, Sosnowieckie Centrum Sztuki-Zamek Sielecki oraz Muzeum Miejskie „Sztynka” w Dąbrowie Górniczej. Autor nie podał tu nowych informacji, a tylko zestawiał — bez jakiegokolwiek komentarza — tematykę lekcji muzealnych. Kwestii pierwszej natomiast nie potrafił nawet dokładnie sprecyzować ani nazwać, dlatego pozostawił ją bez właściwego tytułu. Napisał więc o roli muzeów w procesie dydaktycznym, znaczeniu i roli eksponatu muzealnego oraz o lekcjach muzealnych i ich związkach z celami nauczania historii. Autor wywody opatrzył pięcioma przypisami. Swą niewiedzę z zakresu dydaktyki historii wykazał w rozszerzającym treści podstawowe przypisie 3 (s. 27—28, uzupełnionym przez redaktora naukowego Sławomira Witkowskiego). Niezależnie od tego, kto jest autorem podanych w przypisie słów, należy stwierdzić, że osoby piszące o celach nauczania historii „popisały się” starą, nieaktualną wiedzą pochodzącą z początku lat 90. XX wieku. Klasyczny podział celów nauczania na poznawcze, kształcące i wychowawcze J. Krajniewski i S. Witkowski nazwali „nieco przestarzałym” ujęciem. Jednocześnie stwierdzili (w oparciu o cytowaną już wcześniej pracę J. Maternickiego, C. Majorca i A. Suchońskiego), że „aktualnie stosuje się taksonomię celów kształcenia historycznego...”. Nie pracując w szkole i nie stykając się z problemami dydaktycznymi, napisali tak, bo nie mają świadomości zmian, jakie m.in. w zakresie precyzowania celów nauczania, w tym także nauczania historii, wprowadzono do szkolnej edukacji historycznej. Przedstawione w tekście „uzupełnienia” dotyczące celów nauczania oparli na starych i już nieaktualnych wiadomościach, wyniesionych zapewne z okresu studiów. Nie wiedzą, że zarówno w ministerialnej *Podstawie programowej*, jak i w autorskich programach nauczania obowiązuje operacyjne ujęcie celów nauczania, a jego narzędziem pozostaje wspomniana przez nich taksonomia. Obecnie operacjonalizacja celów nauczania pozostaje nierozłącznym elementem pomiaru dydaktycznego, a zatem jej zadaniem pozostaje realizacja wytyczonych przez Ministerstwo standardów nauczania poszczególnych przedmiotów. Z wyliczonych uwag wynika, że Jarosław Krajniewski i Sławomir Witkowski nie znają najnowszej literatury z dydaktyki historii, dlatego nie wiedzą, że aktualnie obowiązujący sposób precyzowania celów nauczania historii został jasno i wyraźnie zaprezentowany w wielu dostępnych pracach. Zaliczyć do nich należy m.in. opracowania: Alojzego Zieleckiego *Wprowadzenie do dydaktyki historii* (Kraków 2007), Marii Bieniek *Dydaktyka historii. Wybrane zagadnienia* (Olsztyn 2007), Ewy Chorąży, Danuty Konieczko-Śliwińskiej, Stanisława Roszaka *Edukacja historyczna w szkole. Teoria i praktyka* (Warszawa 2008).

Jarosław Krajniewski pisząc o formach zapoznawania odbiorcy z ekspozycją muzealną, stwierdził, że jedną z nich jest „lekcja muzealna, prowadzona przez pracownika merytorycznego muzeum”, a następnie zaznaczył, że

„lekcje takie nie muszą odbywać się tylko i wyłącznie na terenie muzeum”. Temu drugiemu stwierdzeniu autor sam zaprzeczył, pisząc bowiem dalej o lekcjach nieprowadzonych na terenie placówek muzealnych, stwierdził (s. 26), że w czasie ich trwania występuje możliwość zatarcia, a nawet utraty najważniejszych zalet lekcji muzealnych. Sprecyzował też (w postaci tabelki niemającej tytułu) czas trwania lekcji muzealnej dla poszczególnych grup wiekowych. Nie podał jednak źródła tych informacji, stąd można przypuszczać, że zamieszczone w nich dane pozostają tylko życzeniami autora artykułu, będącego pracownikiem muzeum, nieposiadającym zapewne stosownych kwalifikacji pedagogicznych do prowadzenia tego typu zajęć z dziećmi i młodzieżą na terenie muzeum. Czy możliwym pozostaje 50-minutowe utrzymanie uwagi 13 — 14-latków na teoretycznych rozważaniach podejmowanych przez pracownika muzeum?

Recenzowana praca — chociaż dotyczy niezwykle ważnego i podejmowanego w wielu opracowaniach problemu — nie spełnia nadziei poznawczych z nią związanych. Nie zawiera praktycznych rozwiązań dla nauczycieli, nie precyzuje żadnych wniosków z prowadzonych przez autorów badań w tym zakresie, w końcu nie stanowi nowego, naukowego ujęcia zakreślonych w tytule kwestii. Pełna jest natomiast nie zawsze aktualnych i odpowiednich, a do tego w żaden sposób nieudokumentowanych myśli i sugestii.

Anna Glimos-Nadgórska

